

SPOTKANIA SOLRZAN

Nr 3 (168)

LUBIN

2024 r



**Centralną częścią ołtarza w borszowskiej cerkwi jest obraz Matki Boskiej Częstochowskiej z kościoła parafialnego w Przemyślanach. Został zabezpieczony po wojnie przez unitów.
Stan z 2003 r.
Źródło:
www.przemyslany-sdb.com.**



*Ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski
(1956-2024)*

Ksiądz obrządku ormiańskiego i katolickiego, historyk i poeta. Współzałożyciel i Prezes Fundacji im. Brata Alberta, opiekującej się osobami niepełnosprawnymi.

Działacz antykomunistycznej opozycji, represjonowany przez Służbę Bezpieczeństwa PRL. Od wielu lat zajmował się problematyką ludobójstwa na Kresach Południowo-Wschodnich, a owocem tych zainteresowań były dwie publikacje: „Przemilczane ludobójstwo na Kresach” i „Nie zapomnij o Kresach”. Jako proboszcz ormiańskiej parafii św. dla Polski Południowej starał się o zbliżenie starej i nowej emigracji Ormian. Badał najnowszą historię Kościoła w Polsce i wytykał błędy hierarchów za co był szykanowany. Laureat Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza oraz Nagrody Kustosza Pamięci Narodowej.

Cześć Jego pamięci!

Spis treści numeru 168

Str.

3. Kartka z pamiętnika. W. Zawadzki. Dlaczego zostałem lekarzem. Wspomnienia (V).
26. M. Piotrowska. Samotność.
26. I. Megger. 100 lat temu utworzono województwo tarnopolskie. Województwo w liczbach i porównaniach.
32. Wydarzenia z powiatu Przemyślany podane w *Kurierze Lwowskim* (cz. IV).
38. Niemieccy naziści ze Lwowa w komitywie z banderowcami.
39. A. Groblewski. Garść wieści ze Wschodu.
40. K. Salkitzloglou. O chłopach, panach i o państwie świrskim (III).
45. Listy do redakcji.
47. Informacje.

Kartka z pamiętnika

Red. Poniższy tekst został wybrany z książki Władysława Zawadzkiego „Dlaczego zostałem lekarzem. Wspomnienia.” Rozmowę z autorem przeprowadził i wstępnie zredagował Janusz Rozwadowski. Redakcja dziękuje wydawnictwu Poligraf i p. Januszowi Rozwadowskiemu za zgodę na przedstawienie wspomnień w naszej gazecie oraz dokonanie niewielkich skróceń tekstu.

Władysław Zawadzki

Dlaczego zostałem lekarzem. Wspomnienia (cz. V)

Rozdział XII. Dalsze lata 1947-1950

Moja służba w milicji obfitowała w liczne zwroty. Po jednej z akcji szef służby zewnętrznej został zatrzymany w areszcie do wyjaśnienia, a mnie powierzono jego obowiązki. Komenda milicji w tamtym czasie mieściła się na ulicy Polnej. W budynku tym przed wojną, w czasach kiedy ziemie te były niemieckie, mieścił się komisariat policji. Nasi umieścili tam komendę miejską, komendę powiatową i komisariat milicji. Był rok 1947. W mieście w dalszym ciągu często słychać było strzały. Szefem służby zewnętrznej był mój kolega, też absolwent oficerskiej szkoły w Słupsku. Podobnie jak ja, był w stopniu plutonowego. Dostał informację, że Rosjanie obrabowali kilka mieszkań i uciekają w kierunku komendy. Uciekają dwoma dużymi samochodami osobowymi Czajkami. Dowódca postawił na nogi całą szkolkę, którą ja ćwiczyłem. Ponad trzydzieści osób. Każdy miał karabin z ostrą amunicją. Zrobili blokadę ulicy. Po niedługim czasie jadą dwa samochody, samochody Rokossowskiego, jak nazywano wtedy czajki. Samochody nie zatrzymały się. Wręcz odwrotnie, kierowcy na widok MO dodali gazu. Otworzyli ogień. Samochody zostały trafione w opony i zatrzymały się. W wyniku strzelaniny dwóch Rosjan poległo. Dodatkowo jednego rannego wyciągnięto z samochodu i na chodniku dobito strzałami w głowę. Zrobili to dwaj milicjanci, ojciec i syn. Pochodzili z kresów, doznali tam od Rosjan wielu krzywd. Wynikła z tego wielka afera.

Zarzucono dowódcy przekroczenie uprawnień. Został zatrzymany do czasu wyjaśnienia tej sprawy. Rozpoczęło się śledztwo. Włączyła się w to żandarmeria wojskowa. Chodziło o Rosjan. Prowadzono dochodzenie, wszyscy uczestnicy tego zdarzenia byli przesłuchiwani, również ja. Sprawcy zabicia rannego zniknęli. Zapadli się jak kamień w wodę. Dochodzenie trwało pół roku. Tyle czasu przebywał w areszcie szef służby zewnętrznej. Ostatecznie zwolniono go, oczyszczono z zarzutów. Później awansował nawet. Uznano, że działał zgodnie z prawem, on przecież nie wydał rozkazu zabicia rannego. Była to samowola podwładnych, którzy działali pod wpływem emocji. Dokonali samowoli i uciekli. Mnie polecono przyjęcie stanowiska szefa służby zewnętrznej. Chcąc nie chcąc, przyjąłem te obowiązki.

* * *

Sytuacja była nieszczerólna. Ale nie tylko na tym terenie, lecz w całym kraju. Organizowało się życie. Życie w każdym aspekcie, czy to społecznym, czy to politycznym, czy kulturalnym. Na terenie Legnicy było o tyle trudniej, że stacjonowało tu wojsko przyjacielskie, wojsko radzieckie. Armia Radziecka zajęła znaczną część miasta. Ja, przykładowo, przyjeżdżałem na narady do Wrocławia, jeszcze jak pracowałem w milicji i byłem przez kierownika drogówki ochrzaniany:

- Co tam u was się dzieje? Na skrzyżowaniach stoją Rosjanie z chorągiewkami?

- To prawda! Ale innych samochodów u nas nie widać. Tylko radzieckie, wojskowe. Dlatego oni sobie regulują swój ruch.

Muszę jednak przyznać, że przychodził do mnie oficer, major radziecki, i uzgadniał te sprawy. Pytał, czy będę chciał przy ich posterunkach postawić swoich ludzi. Ja oczywiście nie widziałem takiej potrzeby. Miałem mało ludzi i potrzebni byli do innych zadań. Szczególnie trudna sytuacja. Jesteśmy na ziemiach odzyskanych, do niedawna tereny niemieckie, ludność jest napływowa, traktująca sytuację tymczasowo, no i Armia Radziecka. Niektórzy przybysze zza Buga długo nie rozpakowywali walizek. Siedzieli i czekali na zmiany. Chcieli wracać do siebie.

Był jeszcze jeden problem. Przyjeżdżali ludzie z centrali i kradli, co się dało. Szabrownicy czynili spustoszenie w istniejącym majątku. Brali, co tylko można było, i wywozili do centrali. Postawiliśmy na ulicach wylotowych z miasta posterunki milicji. Na Złotoryjskiej, na Chojnowskiej, na Wrocławskiej. Wszystkie wyjazdy z Legnicy były obstawione.



Budynek sztabu Wehrmachtu, później siedziba sztabu Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej (1945-1993), obecnie zajmowany przez ZUS.
Fot. Damian Zieziula (www.wikimedia.org.)

Ja dostałem radio poniemieckie, jeszcze je mam, z przydziału. Kto próbował wywieść cokolwiek bez pozwolenia, był zatrzymywany do wyjaśnienia. Szabrownictwo kwitło. Niejednokrotnie wchodziło się do mieszkania i na stole stała szklanka czy kubek z herbatą. Tak jakby ktoś dopiero co wyszedł. W łóżkach była pościel, w szafach ubrania, w kredensie naczyń. Łupili wszyscy. Nie można było dopuścić, żeby szabrownicy obłupili mieszkania. Przybysze ze wschodu nie mieliby wtedy nic. Polacy przybywający na te ziemie niejednokrotnie nie mieli nic.

* * *

Niemcy, dotychczasowi mieszkańcy, bardzo się bali Rosjan. Jak tylko pojawiła się pogłoska, że idą Ruscy, to Niemcy wiali, gdzie pieprz rośnie. Zdawali sobie sprawę, że Hitler nabroił i chęć zemsty u niektórych zwycięzców jest ogromna.

Wiadomo na przykład, że linia kolejowa Legnica-Jelenia Góra była zelektryfikowana. Niestety „przyjaciele” radzieccy zdemontowali wszystko i wywieźli na wschód. Rosjanie uważali, że im się to należy. Oni wyzwolili ogromnym wysiłkiem te ziemie, ale mają olbrzymie zniszczenia u siebie. Wywozili całe fabryki, demontując maszyny i urządzenia.

Nawet Pafawag się nie ostał. Pafawag w czasie wojny to była fabryka broni dla armii niemieckiej. Jest to potwierdzone, bo byłem świadkiem opowiadania jednego ze studentów Akademii Medycznej, którego przyjmowaliśmy do partii.

- W czasie wojny byłem we Wrocławiu na robotach przymusowych. Pracowałem w fabryce broni w Pafawagu. Po zakończeniu wojny zaś zatrudniony zostałem przez „przyjaciół” do demontażu urządzeń, które zostały wywiezione w wiadomym kierunku.

Można sobie wyobrazić, jaka konsternacja zapanowała wśród kolektywu, gdy to mówił.

- Co ty opowiadasz - ktoś zaoponował. - To niemożliwe, to nie może być prawda.

- Prawda! Wszystko zostało wyrwane z korzeniami, zapakowane do wagonów i wysłane na wschód do Związku Radzieckiego.

Wrocław był kompletnie zburzony. Ulice to była jedna wielka sterta gruzu. Niemcy, wycofując się, burzyli miasto. Systematycznie po kolei wysadzali budynek po budynku. Na ulicy Jemiołowej 64 mieszkał żony wujek, Pawlak. Był tam jeden dom, który ocalał, lekko spękany, gdzie zamieszkali ludzie. Reszta domów była zburzona. Jak przyjechałem na studia do Wrocławia, to przez jakiś czas mieszkałem u tego wujka. Nie jest do opisanania, jak to w tamtym czasie wyglądało.

Muszę powiedzieć, że ta cała PRL zrobiła strasznie dużo, strasznie dużo. Bo przy takich warunkach i środkach, jakie były do dyspozycji, to, co zrobiono i zbudowano, musi budzić szacunek. Pojechałem, jeszcze jak pracowałem w milicji, do Warszawy na jakąś naradę. Obraz, jaki zobaczyłem, wzbudził we mnie przerażenie. Zburzone wszystko do piwnic, do kanalizacji. Wszystko trzeba było odtwarzać. I ludzie zakasali rękawy i robili. Nikt nie pytał o zapłatę. Taki duch był w narodzie, że nie da się tego opowiedzieć. Podobnie ja, pracując na początku w Jaworze, byłem zdziwiony, że jest jakaś pensja. Dają spanie, mieszkanie, jedzenie i jeszcze pieniądze. Moja opowieść brzmi jak bajka. Kto z młodych uwierzy, że tak było? Ale to prawda! Tak było.

Rozdział XIII. Matura 1951 r.

[Świat łapie oddech po kataklizmie, jakim była druga wojna światowa. W Polsce trwa ustalanie nowego porządku. Przemysł pracuje, o-

grom wysiłku, niski poziom technologiczny powoduje liczne ofiary w kopalniach, hutach, na budowach, w rolnictwie. Walka polityczna też okupiona jest krwią. Władek Zawadzki został przeniesiony do Legnicy. Pierwsze swoje kroki skierował do szkoły. Miał ukończone sześć klas szkoły podstawowej, niestety, nie miał na to żadnego dokumentu. Jednak w głowie miał wiedzę zdobytą dzięki bestialsko zamordowanemu przez ukraińskich bandytów panu Buremu. Młody człowiek rzucony w wir historii, w wir nowego ładu, w wir służby bardzo chce się uczyć, bardzo chce wyrwać się z tego, co robi. Dowiedział się, że przy Urzędzie Bezpieczeństwa otwarto szkołę dla dorosłych. Szkoła była jak najbardziej legalna, z całą administracją, kadrą nauczycielską. Zebrał się Władysław i poszedł do sekretariatu. J. R.]

- Dzień dobry. Chcę się uczyć. Doszły mnie słuchy, że tutaj powstaje szkoła dla dorosłych.

- Tak. Powstaje szkoła. Co pan dotychczas skończył?

- Mam ukończone sześć klas.

- Ma pan jakiś dokument na to? Jakies świadectwo?

- Nie mam żadnych dokumentów, żadnych świadectw. Wszystko spłonęło.

- Proszę napisać podanie, rozpatrzemy.

Napisałem podanie. Dyrektor zadecydował, że muszę zdawać egzamin. Powołano komisję. Trzy czy cztery osoby były w tej komisji. Pytali o różne rzeczy: trochę z historii, coś z matematyki, coś z literatury, dużo o obecnej sytuacji. Orzekli, że dam radę. Zajęcia odbywały się po południu. Od rana do południa służba, codzienne obowiązki, wytężona, absorbująca praca, a po południu do późnego wieczoru szkoła. Przygotowanie ze szkoły w Plenikowie było nie najgorsze, w ciągu roku udało mi się zaliczyć dwie klasy. Małą maturę zrobiłem z wyróżnieniem. Przed wręczeniem świadectw wezwał mnie dyrektor:

- Tobie należy się pierwsze miejsce, ale dostaniesz drugie.

- Tak? A czemuż to?

- Twoja największa konkurentka pracuje w urzędzie, w kancelarii. Ma dostęp do papieru, do kalek, do wszelkich materiałów biurowych.

- To co z tego, panie dyrektorze?

- Jak to co! Dzięki niej szkoła może funkcjonować. Musimy się odwdziżyć.

- Dobrze. Niech będzie. Drugie miejsce też dobre.

Niestety rozwiązali tę szkołę. Poprzenosili pracowników i nagle okazało się, że nie ma uczniów. Dyrektor powiedział mi, że jest inna szkoła dla pracujących i tam powinienem pójść.

Ten dyrektor był jednocześnie inspektorem w kuratorium. Wystawił mi opinię. Poszedłem do tej szkoły, żeby zdać maturę, to znaczy zrobić jedenastą klasę. Małą maturę mam zaliczoną. Celem moim była matura jako przepustka na studia. Wtedy jeszcze nie bardzo wierzyłem w to, że mogę studiować. Dałem zresztą ojcu obietnicę, że wystąpię z milicji i przyjdę na gospodarstwo, żeby pomóc i z czasem je przejąć. Pewnego razu wspomniałem o tym dyrektorowi szkoły. Umówił się ze mną w niedzielę na spacer po parku:

- Człowieku! Ja uczyłem się w takiej biedzie! Gruźlicy się nabawiłem, żeby tylko skończyć studia. A ty teraz masz takie możliwości!

- Ale ja ojcu dałem słowo.

- Powinieneś studiować, jesteś zdolny, dasz radę. Musisz zdać maturę i iść na studia.

Wszystkiego wysłuchałem, ale słowo jest słowem. Powiedziałem tacie, że jak tylko się zwolnię, wracam na gospodarstwo, będę gospodarzył. Pojechałem do domu, do ojca i mówię:

- Miałem z dyrektorem rozmowę. Powiedział mi, że źle robię, że powinienem dalej się uczyć. Tata wysłuchał, podumał i powiada:

- Słuchaj! On chyba ma rację! Bo to różnie może być. My sobie jakoś poradzimy. Michał się ożeni, jakoś będziemy sobie radzić. Próbuj, ucz się. My sobie poradzimy.

Dla mnie słowo było święte. Jak powiedziałem, że wrócę, to wrócę. Nagle okazuje się, że ojciec zwolnił mnie z danego słowa. Dyrektor, inspektor, wystawił mi opinię i się przenieśli do klasy jedenastej do szkoły w Legnicy, imienia Henryka Pobożnego. Pan dyrektor szkoły prze-



Władysław Zawadzki,
autor wspomnień.

czytał opinię o mnie, widocznie przesadzona była, bo powiada:

- A co ty będziesz chodził z całą resztą? Zwołam komisję. Przepytają cię i idź na studia.

- Dyrektorze, ja nie czuję się tak mocny, chcę chodzić do tej klasy. Tam wszystko pobieżnie było robione, wiem, że mam braki. Jak pójdę na studia, to nie dam rady.

- Jak uważasz. Moim zdaniem dasz radę.

- Wolę jednak zostać. Przez rok wyszlifuję wiadomości.

- Jak chcesz, to możemy tak zrobić, chociaż uważam, że to strata czasu.

[W głowie Władysława coraz bardziej dojrzewiała decyzja o odejściu ze służby w milicji. Krystalizował się pomysł o podjęciu studiów medycznych. Wspomnienie z dzieciństwa o lekarzu, który w cudowny sposób uwolnił go od przejmującego bólu, było żywe. Postanowił zrobić wszystko, żeby odejść z milicji. Chciał zostać lekarzem, pomagać ludziom w ich cierpieniu, leczyć. Jego przełożeni nie byli tacy głupi. Wiedzieli, że Zawadzki to dobry, sumienny i zdolny pracownik. Pozwalali mu na wiele. Dostał zgodę na naukę. Bez większego wysiłku zrobił małą maturę. Nagle w szkole, do której chodził, z którą wiązał nadzieje na dalszą naukę, zostało ich tylko dwóch. Szkołę rozwiązano. Mieszkał w wynajętym mieszkaniu. Zajmował stanowisko przynależne oficerowi, mimo że nie miał stopnia oficerskiego. Pisał do swojego bezpośredniego przełożonego podania z prośbą o zwolnienie ze służby. Jednak zwolnienie takie mógł mu dać tylko komendant wojewódzki. Pisał do niego podania, z zachowaniem drogi służbowej. Każde kolejne podanie to była odmowa. Postanowił napisać bezpośrednio do komendanta głównego z pominięciem drogi służbowej. W uzasadnieniu pisał: „pragnę się uczyć, poszerzać swoją wiedzę, chcę zostać lekarzem. Pracowałem w najtrudniejszych momentach najlepiej jak potrafiłem dla dobra ludowej ojczyzny i utrwalania władzy ludowej. Pracowałem zawsze uczciwie i najlepiej jak potrafiłem. Teraz, kiedy władza okrzyła, ja chcę studiować, a tu mi się to utrudnia”.

Jakież było jego zdziwienie, gdy otrzymał pozytywną odpowiedź z Komendy Głównej Milicji. Jego przełożony wściekł się. Prawdopodobnie wszystkie dotychczasowe podania wrzucał do kosza. Decyzja o zwolnieniu ze służby przyszła w samą porę. Dotychczas dzień pracy Władysława rozpoczynał się o godzinie szóstej rano. Od siódmej do piętnastej miał służbę. Jego wrodzone poczucie odpowiedzialności i obowiązkowość

nie pozwalały mu na robienie czegokolwiek połowicznie. Z całą energią i zaangażowaniem wykonywał powierzone sobie obowiązki. Szkoła, do której teraz chodził, zaczynała się o szesnastej. Zorganizował sobie, że obiad przynoszono mu do pracy i na zajęcia szkolne szedł najedzony. Szkoła mieściła się przy ulicy Lenina. Zajęcia trwały do późnego wieczoru. Trzeba pamiętać, że wtedy nie było wolnych sobót. Tydzień pracy trwał sześć dni. Nie było też podręczników do nauki. Nauka była oparta na notatkach poczynionych na lekcjach. Po przyjściu do domu musiał wszystko porządkować, układać i opanować materiał. Systematyczność była podstawą osiągnięcia dobrych wyników, dotarcia do upragnionego celu. Ciężko było pogodzić naukę ze służbą w milicji. W samą porę przyszła decyzja o zwolnieniu ze służby. Z dniem pierwszego października młody, głodny wiedzy Władysław mógł poświęcić się tylko nauce. Ale wkrótce pojawiła się nowa trudność. Tak wspomina Władysław tamten okres. J. R.]

Pracowałem w milicji i szczęśliwie dostałem zwolnienie ze służby. Działo się to w październiku 1950 roku. Byłem z tego powodu bardzo zadowolony, mogłem poświęcić cały czas i energię na naukę. Ale co się okazało? Uczęszczałem do liceum dla pracujących i po kilku lekcjach dowiaduję się, że muszę dostarczyć zaświadczenie z miejsca pracy. Do tej szkoły mogli chodzić tylko pracujący. Miałem dwa wyjścia: albo przenieść się do normalnego liceum, albo podjąć pracę. Idę do komitetu i mówię, że potrzebuję zaświadczenie o zatrudnieniu!

- Dobrze! Damy wam pracę! - Słyszę.

- Zgadzam się! Ale żeby nie była zbyt ciężka i absorbująca, bo muszę się uczyć.

- Będzie, jak chcecie. Zostaniecie dyrektorem.

- Dyrektorem? Nie mam żadnych kwalifikacji!

- Macie już małą maturę.

W tamtym czasie ludzi z maturą nie było. Ci, co ją mieli, nie ujawniali tego, nie chwalili się wykształceniem. Mówię na to:

- Nie, ja nie mogę!

- Dacie radę!

- Nie! Ja nie wyrażam zgody na żadną dyrekturę.

Zaczęli się zastanawiać: - Tworzymy taki zakład, będzie to zakład o nazwie Legnickie Zakłady Przemysłu Terenowego Materiałów Budowlanych.

- Co to ma być?

- Zakład będzie zajmował się budowlanką, materiałami budowlanymi. Chcemy wam powierzyć utworzenie tego zakładu. Ale wy nie chcecie być dyrektorem?

- Nie!

- To będziecie kadrowcem.

- No dobrze! Niech będzie kadrowiec.

- Musicie to zorganizować.

- A gdzie ma być siedziba tego zakładu?

- Damy wam parter budynku przy ulicy Mickiewicza 15.

Poszedłem tam. Dyrektor już jest. Młody człowiek, trochę starszy ode mnie. Mamy kilka pokoi. Jeden dla dyrektora, jeden dla kadrowca, czyli dla mnie. Zaczynamy przyjmować ludzi. Musi być księgowość, zastępca dyrektora, trzeba stworzyć administrację do dalszego działania. Stworzyliśmy to. Mamy konto w banku i tak dalej, zaczynamy funkcjonować. Skąd to wszystko się bierze, skąd pieniądze na koncie - tego nie wiem. Jest księgowość, jest wypłata. Czym będziemy się zajmować? Będziemy produkować cegłę, czyli będziemy mieli cegielnię. Jedna cegielnia jest w Miękini, jest czynna. Druga jest gdzieś za autostradą, w tej chwili nie pamiętam nazwy tej miejscowości, ta cegielnia jest dość zdezastowana. Wymaga remontu. W Kunicach jest cegielnia, rozwalona, jak to po wojnie, ale w planach jest uruchomienie jej. Problemem podstawowym jest brak ludzi do pracy. Jeździmy po wioskach i werbujemy. Namawiamy ludzi do pracy.

W Środzie jest też zakład. Kaflarnia. Tam produkuje się kafle na piece, bardzo ładne kafle. Jako kadrowiec jeżdżę po wsiach, namawiam, żeby szli do pracy, że dobrze płacimy. Nie ma chętnych. Wszyscy żyją tymczasowo, czekając na zmiany. Kilka osób jednak udało się namówić i już pracują - w Środzie Śląskiej. Gdy jest niedziela, to my tutaj organizujemy się i jedziemy do Miękini w czynnie społecznym pomagając zakładowi. Cała administracja społecznie robi cegły.

Okazuje się, że pomieszczenia, które mamy, są za małe. Robi się w biurach ciasno. Chodzę po Legnicy, patrzę, na Armii Czerwonej 17 jest budynek. Rosjanie go używali, ale tam schody są w nie najlepszym stanie i zostawili go. Ten budynek spełniał nasze wymogi. Dwupiętrowy, co prawda w zabudowie, ale pasuje dla nas. Zajrzałem tam i zacząłem zastanawiać się, jak to dostać. Budynek nie podlega pod naszą administrację, tylko pod radziecką. Budynek obok zajmują Rosjanie. Przychodzi jakiś

człowiek, w randze kapitana i pyta mnie, czego szukam.

- Szukam pomieszczeń, bo potrzebuję na biura zakładowe. Słyszałem, że to jest w waszej gestii.

- Da!

- Czy moglibyśmy to zająć, bo widzę, że wy nie zajmujecie.

- No, nie znaju.

- Czy z tobą można się w tej sprawie dogadać? - pytam bez ogródek.

- No, ja nie znaju.

- Załatwmy to jakoś. Wam budynek niepotrzebny, a nam się przyda.

- No da. Machniom! Poszliśmy zaraz niedaleko, wypiliśmy po setce, jednej, drugiej i on powiada:

- Wołodia, możesz zajmować!

Żadnych papierków, żadnych formalności. Wracam do dyrektora i mówię, że mam na Armii Czerwonej (teraz to ulica Andersa) budynek, będziemy go remontować i przeniesiemy się. Dyrektor poszedł, popatrzył, spodobał mu się budynek:



Administracja Zakładu Przemysłu Terenowego Materiałów Budowlanych w niedzielę pracuje społecznie w cegielni w Miękini.

- Fajny! Pokoje na jednym piętrze, na drugim, remontu niedużo. Bierzemy!

Zrobiliśmy remont w krótkim czasie. Ekipa remontowa szybko naprawiła, co potrzeba, pomalowała i zaczęliśmy pracować na nowych śmieciach. Nowe biura ma księgowość, kadry, dyrektorzy. Ale ja w dalszym ciągu chodzę do szkoły. Jakoś godzę to wszystko i prę do przodu. Dyrektor jest mi bardzo przychylny. Wie, że się uczę, i toleruje moje spóźnienia czy też nieobecności z powodu szkoły. Poza tym ja jestem kadowcem i mogę sobie wy-

chodzić, przychodzić. To mnie pracownicy pytają, czy mogą wyjść, to ja jestem od pilnowania dyscypliny. Firma pracuje, ja się uczę, jest fajnie.

Przychodzi czas egzaminów maturalnych. Maturę zdawałem z matematyki, języka polskiego, fizyki, historii, nie historia, ale nauka o Polsce i świecie współczesnym. Z polskiego i matematyki był pisemny i ustny, a z pozostałych przedmiotów tylko ustny.

[Był rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty pierwszy. Wiosna! Maj. Kasztanowce buchnęły zielenią liści i obsypały się kwieciami. Pragmatyczna osobowość racjonalnego i osadzonego mocno w realiach codziennego życia zodiakalnego Strzelca, Władysława, nie dostrzegając tego, co wyprawiała natura ze światem. Władysław przystępował do egzaminów maturalnych. Jak zwykle perfekcyjnie przygotowany, ze spokojem zasiadł do egzaminów pisemnych i bez trudu zaliczył egzaminy ustne. J. R.]

Zrobiłem jedenastą klasę. Okazało się, że każdy chciał mieć tylko to świadectwo, bo przeważnie to byli już ludzie na stanowiskach kierowniczych, dyrektorskich, ale nie mieli matury. I nagle po otrzymaniu matury prawie wszyscy złożyli podania na studia. Dyrektor nie mógł się nadziwić. Najpierw tylko chcieli świadectwo, a teraz wszyscy na studia. A kto ich tam przyjmie? Na jedno miejsce sześć, siedem osób.

Rozdział XIV. Studia 1951-1957

Kiedy zdałem maturę, złożyłem papiery na studia. Nie do końca dowierzałem, że mi się uda, słyszałem, ilu kandydatów jest na jedno miejsce, ale pomyślałem sobie, że może nie zdam egzaminu, lecz muszę spróbować, żeby potem nie żałować. Jak odpadnę, to odpadnę, chciałem, ale się nie udało! Trudno! Ale będę rozgrzeszony sam przed sobą. Chciałem, próbowałem, nie udało się. Złożyłem te papiery. Poszły. Po pewnym czasie dostaję zawiadomienie, że mam się zgłosić na egzamin. Jeden dzień pisemny fizyka, drugi dzień biologia. W przypadku zdania pisemnych przyjdzie zawiadomienie o terminie egzaminu ustnego. Pisałem. Zaczęło się czekanie. Człowiek nie wie, zdał, nie zdał. Po dwóch tygodniach przychodzi zawiadomienie, że należy zgłosić się do ustnego egzaminu. Czyli zdałem pisemne. Nie wiem jak. Lepiej czy gorzej, ale zdałem. Mam zaliczone i mam się zgłosić do ustnego. Ciekawa historia.

Egzamin ustny odbył się na wydziale farmakologii, oczywiście grupa studentów stoi, każdy się trzęsie, bo nie wiadomo, co będą pytać.

A to jest egzamin ustny - Polska współczesna. W końcu przychodzi moja kolej. Ja jestem wzywany. Władysław Zawadzki. W komisji siedzi profesor Zdzisław Jezioro [1] jako przewodniczący i jeszcze grupa egzaminatorów, jakiś czynnik społeczny, docenci. Pytają mnie o to, o tamto. Więc ja odpowiadam, staram się w miarę możliwości mądrze mówić. Naraz jeden z działaczy wyskakuje na mnie z krzykiem:

- Taki chłop stara się na medycynę, to jest praca dla kobiet, taki chłop to powinien iść na AGH!

Ja nawet nie wiedziałem, co to jest. To było górnictwo-hutnictwo w Krakowie. Zaczął mnie mocno besztuć. Ja to do lekkiej pracy, a tam trzeba iść odbudowywać przemysł. Cicho siedzę, nic nie mówię, myślę sobie - koniec moich marzeń o karierze lekarza. W duchu pomyślałem: „Już po mnie! Czy mi da skierowanie tam czy co?”. On w każdym razie się wydziera, aż profesor Jezioro powiada:

- Kolego! Dostyc! Lekarze też są potrzebni, ortopedia to nie jest dla kobiet, tam trzeba męskiej ręki. Profesor zgasił przedstawiciela aktywu. Tamten siadł. Profesor się odezwał, to koniec, już nie ma mocnych. Profesor zaczyna przeglądać papiery i pyta się jakiejś pani, co siedziała obok:

- A gdzie jego podanie o stypendium?

- Pan nie składał podania. Ma pracującą żonę, mówił, że sobie poradzą.

Ja już byłem wtedy żonaty. Żona pracowała. Coś zarabiała. Uznaliśmy, że będziemy sobie radzić. I ta pani powtarza to, co jej wcześniej powiedziałem, profesorowi. Profesor zrobił duże oczy i powiada:

- No wiecie co!?! Wiele rzeczy widziałem, ale takiego idioty to jeszcze nie widziałem. Żeby on szedł na studia i chciał być na garnku żony? Jeszcze takiego nie widziałem. Pisz ty, durniu, podanie o stypendium.

Przestraszony wziąłem kartkę, pióro, ręka mi się trzęsie, piszę podanie o przyznanie stypendium. Nie wiem, jak wtedy wyglądałem. Czy byłem blady, czy czerwony. Niesamowicie to wyglądało. Napisałem podanie. Profesor wziął, włożył do papierów i mi dziękuje. Wstałem, odwrót i po wojskowemu wychodzę. Dopadli mnie stojący przed salą kandydaci i pytają:

- O co pytali?

- Co pytali, to pytali, ale mocno zbesztali i kazali mi wyjść.

- To chyba zdałeś, jak kazali pisać podanie, to na pewno zdałeś.

- Nie wiem, bo tam była sugestia, że mam iść na jakiś „AGH” czy coś takiego, a ja nawet nie wiem, co to jest!

- Chyba zdałeś.

- Ale na razie nie wiadomo. Przyślą zawiadomienie. Powiadomią, czy się zdało, czy nie.

Tak w skrócie wyglądał egzamin. Do domu pojechałem przeświadczony, że chyba zdałem. Bo jak wyszedłem z sali, to nie bardzo wiedziałem o wyniku egzaminu. Miałem w głowie mętlik. Ale koledzy przed salą przekonali mnie. Z tego, co mi tłumaczyli, to wynikało, że zdałem. Po jakimś czasie dostałem zawiadomienie, że zostałem przyjęty. Po egzaminach pojechałem na uczelnię dowiedzieć się, czy jestem przyjęty. Jak zdawałem, to wynikało, że zdałem, ale nie wiem, co dalej. Poszedłem do komitetu uczelnianego partii. Spotykam tam sekretarza, studenta piątego roku o nazwisku Bacia. Przystojny, wysoki facet. Rozmawiam z nim:

- Towarzyszu, zdałem egzamin, jak to dalej ze mną będzie?

Wyciąga moją teczkę, otwiera, pokazuje mi i powiada:

- Słuchajcie! Wy tutaj nic nie macie! - Pokazuje mi teczkę innego kandydata i mówi:

- Tu widać, że działa! Spółdzielnia taka, spółdzielnia taka! A u was pusto. Żadnej aktywności! Żadnej opinii nie macie! Kto was kieruje? Kto was popiera! Nic!

- Jak to kto mnie skierował? Sam się skierowałem! To ja chcę być lekarzem!

- Musicie mieć opinię, poparcie! Bez tego będzie trudno, towarzyszu.

Zdenerwowałem się trochę, nie wystraszyłem się specjalnie i mówię, żeby mnie nie pouczał. A on do mnie:

- Wy chyba zabłądziliście! Z czym wy przychodzicie? Co wy macie: podanie i świadectwo maturalne? Tu trzeba mieć poparcie, trzeba udowodnić swoją aktywność dla partii!

- Ja przecież zdałem egzamin i jestem przyjęty! - wypaliłem zdenerwowany. Jak wykrzyczał, co miał do wykrzyczenia, to powiada do mnie:

- Towarzyszu! Musicie przynieść jakieś zaświadczenie o swojej aktywności dla kraju. Że byliście aktywni, że pomagaliście zakładać spółdzielnie produkcyjne itd.

- To prawda! Byłem w zespole i jeździłem po terenie, po wsiach.

- To donieście jakieś zaświadczenie z komitetu, że was popierają.

Nie mam wyjścia. Udaję się do komitetu powiatowego PZPR. Sekretarzem jest tam mąż mojej znajomej. Jego żona była też aktywistką, jeździła po terenie i mnie w to wciągnęła. Komitet był na ulicy Mickiewicza 10, na pierwszym piętrze. Wchodzę, siedzi sekretarka, przedstawiam się i mówię:

- Chciałbym rozmawiać z sekretarzem w pilnej sprawie. Czy mnie przyjmie?

Czekałem jakąś chwilę. Sekretarka poprosiła, żebym wszedł. Wchodzę:

- Dzień dobry! Nazywam się Władysław Zawadzki. Staram się na studia i potrzebuję zaświadczenie, że byłem aktywistą, że partia mnie popiera w moich dążeniach do dalszej nauki.

- A gdzie się staracie, na jakie studia?

- Na medycynę.

- Nie mogę wam dać takiego zaświadczenia. Gdybyście chcieli na politechnikę albo na ekonomię polityczną, to tak. A wy na medycynę, to taki zawód dla kobiet, a nie dla mężczyzn. Najbardziej widziałbym was na naukach politycznych. Jak zechcecie, to dam wam skierowanie i ten egzamin z medycyny będzie tam zatwierdzony, zostanieie przyjęty.

- Ale mnie to nie interesuje!

- A może na prawo pójdziecie?

- To też mnie nie interesuje. Chcę być lekarzem.

- Na to nie dam wam poparcia!

Zły jestem. Tam potrzebne zaświadczenie, tu nie chcą mi go dać. Jadę do Wrocławia. Idę do komitetu uczelnianego, do Baci, i mówię:

- Byłem w komitecie powiatowym i nic nie wskórałem. - I powtarzam mu rozmowę z sekretarzem. On się pod nosem uśmiechnął i powiada:

- No to co zrobicie?

- A z zakładu pracy może być opinia?

- No może być.

- Tylko kto tam podpisze tę opinię, jak ja sam byłem tam sekretarzem i kadrowcem? Przecież ja ten zakład powołałem do życia. Sam sobie mam podpisać?

- No a drugi sekretarz był?

- Był! Jest jednocześnie dyrektorem.

- To niech on podpisze.

Wracam do Legnicy. Idę do poprzedniego zakładu i przedstawiam sprawę dyrektorowi.

- Dobrze! Napisz sobie, ja podpiszę i podbiję.

Stworzyłem odpowiednie pismo, on podpisał. Zawiozłem do Wrocławia. Sekretarz Bacia zaakceptował dokument:

- No widzicie! Teraz to inaczej wygląda!

Prawda jest taka, że wtedy na medycynie kobiety były mile widziane. Mężczyźni byli potrzebni w hucie, w kopalni, w wojsku, w milicji, w polityce. I rzeczywiście, studentów płci męskiej w akademii medycznej było kilku, a kobiet cała chmara. Po wojnie był deficyt mężczyzn w stosunku do liczby kobiet.

* * *

[Mężczyźni byli potrzebni do pracy w kopalniach. Węgiel był niezbędny między innymi do spłaty długu. Kiedy Zachód uznał w końcu Polskę Ludową, to Anglicy wystawili rachunek dla Polski. Za armię, którą utrzymywali, za umundurowanie, za uzbrojenie. Wszystko, każdy wydatek mieli dokładnie spisany. Okazało się, że to są potężne sumy, zaciągnięte podobno przez poprzedni rząd. Na przykład Batory, który pływał na usługach wojska, miał spisane koszty, które generował w angielskich portach: pobór paliwa, wody pitnej i tak dalej. Mówiono nawet, że lepiej by było, gdyby zatonął. Wykrwawiony naród, ojczyzna zrujnowana, a przyjaciele wystawiają rachunek, nie bacząc, że wielu naszych żołnierzy zginęło w ich interesie. Żeby móc spłacić tak potężny dług, zaczęto rozbudowywać przemysł wydobywczy i węglem spłacać go. A dług nie malał, naliczano odsetki. Dlatego ważna była szybka spłata. Górników pozyskiwano, dając im liczne przywileje. Państwo angielskie zachowało się w stosunku do Polski bardzo nie fair. Sposób, w jaki potraktowano żołnierzy, demobilizacja bez odpowiedniego zabezpieczenia, niedopuszczenie polskiej armii do defilady z okazji zwycięstwa, no i jeszcze wystawienie rachunku, to było bardzo nie w porządku. Ci, którzy tam zostali, łącznie z generałem Maczkiem, potraktowani zostali niegodnie. Wysocy rangą oficerowie pracowali jako posługacze, sprzedawcy, sprzętacze. Ludzie ci narażali życie, byli sojusznikami, dali daninę krwi. W niczym nie zasłużyli na takie traktowanie. Mnie w tamtym czasie zastanawiało, dlaczego musimy tyle wydobywać węgla. Naszej gospodarce nie potrzeba go aż tyle. Zaczęłam zadawać pytania i dowiedziałem się, jak powyżej. Prawdopodobnie w Anglii są nasze zasoby złota, oddane w depozyt w 1939 roku. Ale tego Anglicy nie chcą

oddać, bo nie ma tego, co złożył depozyt. Ten zniszczony kraj doznał jeszcze jednego ciosu. Kraj nie korzysta z UNRRY, bo Stalin zabronił. I Niemcy skorzystali z tego pełnymi garściami, odbudowywali w szybkim tempie gospodarkę, a nam Stalin powiedział, że nie potrzebujemy takiej pomocy. J. R.]

* * *

Tak zaczął się następny etap w moim życiu. Rozpocząłem nowy etap, już jako student, zaczynając od pierwszego października. Najpierw dojeżdżałem na zajęcia. Dojeżdżałem pociągiem. Bilet miałem miesięczny, nie był taki drogi, studenci mieli zniżkę. Było to łatwe dojeżdżanie, mieszkałem blisko dworca, na Chrobrego, czyli około dwustu metrów od dworca. Po pewnym czasie doszedłem do wniosku, że muszę mieszkać jednak na miejscu. Zwróciłem się do władz akademickich i dostałem miejsce w akademiku.

Rozpocząłem normalne dzienne studia.

Zresztą nie było innych w Akademii Medycznej. Medycyna to studia od rana do nocy.

Mówiąc szczerze, jak przyszedłem, to byłem trochę zdziwiony. Chodziliśmy całą grupą. To tu, to tam. Jeszcze było to wszystko nie zorganizowane. Ja byłem nauczony od rana do nocy pracować, uważałem, że tu bumeluję, że nic nie robię. A starsi koledzy tylko straszili: „Ej, anatomia jak przyjdzie, to zobaczycie, co to jest!”. Podręczników oczywiście też nie było. Wszystko na tak zwane skrypty. Anatomia człowieka, anatomia patologiczna, chemia, wszystko w skryptach. Przeważnie od sprzedawali je starsi studenci.

Nie było żadnej biblioteki, z której można by skorzystać. Na razie nic takiego nie było. Zacząłem studia. Wydawało mi się, że to wszystko nie jest takie trudne. Po pewnym czasie doszedłem do wniosku, że to chyba pomyłka. Dlatego że gdy wziąłem skrypt, to zobaczyłem, ile tam jest łaciny! A ja nie znałem łaciny. Załamałem się! Rozmawiam z kolegami ze starszych lat, a oni mówią:

- Słuchaj, to jeszcze nie wszystko! Trzeba znać wszystko na pamięć.

Łacina wszędzie, tyle tego, przestraszyłem się, że nie dam rady. Nie poradzę, tyle to ja się nie nauczę, żeby umieć. Zacząłem w duchu powątpiewać. Ale rozmawiam z kolegami i widzę, że oni nie są wcale mądrzejsi ode mnie. Jedni się uczyli tej łaciny, inni nie. Powiedziałem więc

sobie: „Idziemy do przodu, co będzie, to będzie”. Jeden ze starszych kolegów dał mi radę, żeby gryźć to wszystko od początku, systematycznie, po kolei. Nie opuszczać żadnych zajęć.

Jednocześnie byłem działaczem partyjnym. Należałem do partii. W krótkim czasie ni stąd, ni zowąd zrobiono mnie drugim sekretarzem. Rany boskie! Pierwszy sekretarz był studentem piątego roku, wszystko scedował na mnie, wiedział, co robi, został później profesorem. I do mnie „panie kolego, tam zebranie, tam spotkanie”, wszędzie mnie ciągaliby jako przedstawiciela młodzieży. Do domu wracałem późno, jedenasta, dwunasta, nie ma się kiedy uczyć, byłem zmęczony. Starłem się uczyć, ale przed sesją miałem poważne wątpliwości, czy mi się uda pozdawać egzaminy. Nauka, nie mogę powiedzieć, w porównaniu z innymi szła mi całkiem dobrze.

Nawał tych dodatkowych obowiązków zdecydowanie mi przeszkadzał, za duże to było obciążenie. Ja nie umiem niczego odwalać. Jakoś to idzie, po kolei kolokwia zaliczam, zaliczenia dostaję i jakoś to idzie do przodu. Po pierwszym roku okazuje się, że nie zaliczyłem fizyki. Najtrudniejsza to była chemia - kto nie zaliczył chemii, to przegrał, natomiast fizyka była łatwa, ale jakiś błąd popełniłem i nie zaliczono mi. Wszyscy mówili, „co tam fizyka, gdybyś chemii nie zaliczył!”. Profesor Skrobaczewska w drugim terminie nie puszcza. W związku z tym, że nie zaliczyłem, to po feriach zgłaszam, że mam problemy i nie mogę być sekretarzem, nie daję rady. Zgodzono się z tym, uznano moje argumenty i zwolniono mnie z funkcji. Sekretarzem może być tylko ktoś, kto ma same piątki. To był dla mnie plus. Nie chodzę już na te zebrania. Biorę w nich udział jako członek, ale nie jest to tak często jak wcześniej, że co rusz jakieś zebranie.

Tym sposobem po zaliczeniu fizyki jestem już na drugim roku. Uważało się, że jak przeszedłeś pierwszy rok, to jest dobrze. Pierwszego roku się nie powtarzało, chyba że przeszedłeś do innej uczelni, to mogłeś zdawać od nowa. Największą przeszkodą na medycynie był trzeci rok. Tam była farmakologia. Jest profesor Chana, ze Lwowa, wielu profesorów było ze Lwowa. Wiedziałem, że jak dojdę do farmakologii, to może być problem, ale na razie jest dobrze. Na drugim roku jest dużo lżej. Nie mam tego dodatkowego obciążenia. Dostałem nowy akademik na Koncisa. Ponieważ byłem działaczem, to koledzy mówią:

- Słuchaj, Władziu, tobie damy pokój pojedynczy, będziesz sam

mieszkał.

- No dobrze! Ale ja mogę mieszkać z każdym, mnie to nie przeszkadza.

- Nas będzie pięciu, a ty będziesz sam mieszkał.

Zgodziłem się, ale okazało się, że to pokój przechodni. Do mojego pokoju wchodzi się z korytarza, za tym moim pokojem jest następny, duży pokój i w nim mieszka pięciu studentów. Każdy z nich, idąc do siebie, musi przejść przez mój pokój. Każdy z nich, idąc, musi do mnie zagadać, ja nie mam chwili spokoju, chwili skupienia. Trwa to przez całą dobę, i w dzień, i w nocy. Pięciu młodych ludzi żyje intensywnie, a ja jestem bliski zwariowania. Siedzę, czytam i nic mi nie wchodzi do głowy. Bardzo to się odbiło na moich wynikach. Codziennie są jakieś ćwiczenia, po kilka ćwiczeń, a ja chodzę na nie nieprzygotowany odpowiednio. Jestem niewyspany, zmęczony, niedouczony. Taki kolega, Kułaczkowski się nazywał, jednak z domu, powiada do mnie:

- Słuchaj, coś ci nie idzie?

On był z Bolesławca, syn nauczycieli. Powiedziałem mu, w jakich warunkach mieszkam, że w związku z tym jestem niewyspany, zmęczony. On mówi mi, że w takich warunkach toby nie mieszkał. Ja go pytam:

- Gdzie mam mieszkać?

- To zamieszkał ze mną.

A on mieszkał niedaleko Akademii, na ulicy Pasteura 14 u państwa Raiterów. Wynajmował duży pokój, płacił pięćset złotych. Po jakimś czasie zaproponował mi wspólne mieszkanie, chyba już po rozmowach z gospodarzami. Ja chciałbym chętnie, bo we



Autor jako student Akademii Medycznej.

dwóch się uczyć to inaczej. Często bywałem u niego w czasie jakichś przerw i gospodarze mnie znali. Pani Raiterowa zgodziła się na moje z nim zamieszkanie. Dla mnie to było wspaniałe rozwiązanie. Po pierwsze blisko akademii, po drugie jest spokój, on sobie czyta, ja sobie, a problemy rozwiązujemy wspólnie, bo jesteśmy na tym samym roku. Możemy przedyskutować wszelkie niejasności i wątpliwości. Mogę powiedzieć, że ten kolega uratował moje studia. Na pewno oblałbym egzaminy, gdyby dalej trwało moje mieszkanie w przechodnim pokoju. Ruszyłem ostro do przodu i stanąłem na nogach, jak to się mówi. Zacząłem odczuwać nawet satysfakcję z nauki, nie byłem już taki przemęczony.

Ale gdy okazało się, że wiele osób nie zna łaciny, zorganizowano zajęcia z łaciny. Na jednym semestrze mieliśmy zajęcia z łaciny lekarskiej. Wyłowiono tych wszystkich, którzy na świadectwach nie mieli oceny z łaciny, i powstała spora grupa. Zajęcia były po południu. Polubiłem łacinę. Profesor tak wspaniale wykładał, że wszystko było zrozumiałe i staowało się jasne. Jego wykłady były jak bajka. Każdy siedział z rozdziawioną gębą i słuchał jak urzeczony. Nie musiałem się właściwie dodatkowo uczyć, to, co tam usłyszałem, było wystarczające. Dzięki temu kolede wróciło wszystko na właściwe tory. Właściwie go nie znałem. On zauważył, że mam kłopoty, i wyciągnął do mnie rękę w tym czasie, kiedy tego potrzebowałem. Skończyły się moje problemy z nauką. Drugi rok zaliczyłem bez problemów, trzeci też, a na czwartym dostałem stypendium rektorskie, co znaczyło, że nie miałem żadnej trójki. Co prawda zdarzyło się to tylko w jednym semestrze, ale było. Nam nie chodziło o stopnie, większość studentów walczyła o zaliczenie i jedziemy dalej. Ja osobiście byłem nastawiony na chirurgię. Chciałem być chirurgiem i w związku z tym miałem wszelakie anatomie opanowane na piątki. Tak miałem te tematy opanowane, że jak byłem na trzecim roku, to asystent nie chciał dyskutować ze mną. Bał się moich pytań, uciekał przede mną.

Raz doszło do śmiesznej sytuacji. Na zajęciach z anatomii patologicznej w sali galeryjnej asystent stoi nad zwłokami, otwiera swój zeszytik i zaczyna pytać. Jednego - dwója, drugiego - dwója, następny - dwója, aż doszedł do zet. I pyta:

- A pan Zawadzki?

- No nie wiem, mogę spróbować. On taki zdziwiony, bo każdy mówił nie wiem. A ja przygotowywałem się z tego tematu, bo lubiłem anatomię. Zacząłem opowiadać. Zdziwił się:

- No! Chociaż jeden coś wie.

Zrobiłem na ten temat cały wykład. Uczyłem się nie tylko ze skryptu, lecz z innych książek też. Wysłuchał, chciałem jeszcze mówić, lecz on nie chciał dalej słuchać. Podziękował mi, postawił piątkę i stwierdził, że chociaż jeden uratował grupę. Później nie chciał mnie pytać. Czasem ja miałem do niego pytanie, to uciekał przede mną. Prawdą jest, że anatomia była dla mnie tak interesująca, że czytałem nawet niemieckie podręczniki, których asystent prawdopodobnie nie znał.

Na marginesie opowiem anegdotę związaną z kolegą Kułaczkowskim, z którym wspólnie mieszkałem. Po studiach wrócił do Bolesławca. Był tam internistą. Z Bolesławca chciał przejść do Legnicy, ja już byłem wtedy kierownikiem przychodni i przyjąłem go na stanowisko, załatwiłem mu mieszkanie, tu poznał koleżankę lekarkę i wyjechali stąd nad morze, i nasze kontakty się urwały. Ale wtedy, mieszkając razem, idziemy razem na ćwiczenia. A moja żona, Gerta, idzie naprzeciw. Spotykamy się, witam się z żoną, całuję w rączkę, w buźkę i przedstawiam żonę koledze:

- Moja żona!

On kawałek odszedł, ja porozmawiałem z Gertą chwilę i dochodzę do niego, a on do mnie mówi:

- To my mieszkamy już razem tyle, a ja nie wiedziałem, że ty jesteś żonaty?!

- A czy kiedykolwiek pytałeś, czy jestem żonaty? Czy może ja ci powiedziałem, że nie jestem żonaty?

- No nie! Ale ja ani przez chwilę nie przypuszczałem, że ty masz żonę!

- Nie pytałeś, to nie mówiłem. Nie ma się czym chwalić. Spotkaliśmy się, przedstawiłem ci ją i już wiesz.

Nie mógł tego pojąć, że tyle czasu byliśmy razem, a on nic nie wiedział o moim małżeństwie. Na dziewczynki nie chodziliśmy razem. Nie było na to czasu! Na wydziale lekarskim nie ma czasu na takie rzeczy. Co prawda miałem kolegów na politechnice i czasem któryś przylatywał i mówił:

- Władziu! Idziemy do kina! Idziesz z nami?

- Coś ty! Do kina! Nie mam na to czasu!

- Chodź, idziemy całą grupą!

Nie mogłem sobie na to, cholera, pozwolić. To wszystko był mate-

riał pamięciowy, trzeba wkuć. Jak nie zapamiętałeś, to nic nie wykombinowałeś. Jak miałeś w pamięci, to mogłeś pokombinować. Teraz jeszcze opowiem, jako też anegdotę, takie zdarzenie.

* * *

Ciężko było. Jak już mieszkalem z Jarkiem, to było mi znacznie lżej. W życiu to wszystko się płacze. W żadnym razie nie mogę powiedzieć, że miałem życie usłane różami. Wszystko, do czego doszedłem, to



Collegium
Anatomicum
Akademii
Medycznej
obecnie
Uniwersytet
Medyczny.
Fot. Dawid Galus
(www.wikipedia.org)

ciężka praca. To, że wiele rzeczy mi się udawało, może było spowodowane tym, że nie umiałem kłamać. Mogę czegoś nie powiedzieć, ale nie potrafię kłamać. Nie wszystko mów, co wiesz, ale zawsze wiedz, co mówisz, komu i kiedy, gdyż nawet najlepsza prawda może obrócić się przeciw tobie. Lepiej czasem przemilczeć. Taki mam charakter. Kłamstwem się brzydzę. *[Prawdomówność - Bez zajęcia postawy prawdomówności nie jest możliwe skuteczne przeciwstawienie się kłamstwu. Człowiek prawdomówny docenia rangę racji rozumowych i jest świadomy tego, że u ich podstaw zawsze stoi wartość prawdy. Odpowiednikiem psychologicznym prawdomówności jest szczerść. Osoba prawdomówna jest zdolna do okazania szczerści; nie kryje się za maskami kłamstw lub niejednoznaczności. Cechą pierwszą człowieka prawdomównego, czyli kogoś, kto żyje prawdą - jest otwartość. W świecie ludzkim nie ma prawdy bez otwartości. Stanowi ona osobowościową zasadę wielu wartości interpersonalnych aż po ustrój społeczno-polityczny włącznie. Otwartość na prawdę to otwartość na inność, na różnorodność istnienia, a tym samym afirmacja prawa innych do*

trwania w inności. Otwartość przeciwstawia się postawie politycznej poprawności oraz tendencji do oparcia stosunków międzyludzkich na zasadzie nierówności, podległości i dominacji jednych nad drugimi. Otwartość jest podstawą sensu demokratycznego ustroju jako systemu regulującego wspólnotowe życie w różnorodności. J. R.]

Trudno powiedzieć, to po ojcu, czy po mamie, jestem prawy. Ojciec w każdym razie był szczery, otwarty, sędzę, że był prawdomówny. Oburzał się, gdy ktoś powątpiewał w to, co on mówił. Ja z ojcem byłem blisko tylko do lat czterdziestych. Potem poszedłem najpierw na poniewierkę, później w swoje życie powojenne. Drogi nasze rozeszły się. Jak pracowałem w Legnicy, to w każdą sobotę jechałem do domu. Pociągi chodziły, nie było problemu, jechałem do domu. Przyjeżdżałem, spotkanie z rodziną, rozmowy o tym i o tamtym. Ojciec, jak jeszcze pracowałem w milicji, chciał, żebym się zwolnił i wracał na gospodarstwo. Mówił, że źle się czuje, że jest już stary, potrzebuje pomocy. Co prawda, nie był taki stary, ale uważał się za staruszka. Pewnego razu jadę i myślę sobie, co powie ojciec na wiadomość, że ja się żenię, czy mnie zbeszta, czy co. W czasie obiadu powiadam:

- Wiesz, tato, postanowiłem się ożenić.

- No to fajnie - mówi ojciec głosem zadumanym. - Wyprawimy ci wesele. A gdzie chcesz wesele, tutaj czy tam?

Myślę sobie: „Ani się nie zapytał co, jak, z kim, tylko od razu mówi o weselu”.

- A nie interesuje cię, z kim chcę się ożenić? Tak zawsze dbałeś o czystość szlachecką, a tu nic nie pytasz?

- A co tam, w dzisiejszych czasach. Możesz się ożenić nawet z Cyganką. To jest twoja sprawa, to twoje życie.

To mi dało do myślenia, że to faktycznie tylko i wyłącznie moja sprawa i niczyja poza mną. Czasy były takie, że mężczyzn nie było wielu. Kobiet było dużo. Ojciec dał mi do zrozumienia, że ożenek to mój problem i biorę sobie na głowę coś, z czym będę się borykał do końca życia. Kobiet było bardzo dużo i trwało coś w rodzaju polowania na mężczyzn. Trzeba było się mocno oganiać. Atakowały ze wszystkich stron. Ajajaj! Tak to było. Ja miałem jeden cel, najważniejszy cel, wykształcić się, zostać lekarzem. Panujące choroby weneryczne też dawały na wstrzymanie. Były bardzo rozpowszechnione. Przypominam sobie, jak kiedyś, idąc Głogowską, niedaleko tam, gdzie Gerta mieszkała, jacyś państwo mnie zatrzy-

mują i mówią:

- Panie oficerze! Jest złodziejka! Trzeba ją zamknąć! Kajdanki założyć! Do aresztu!

- Jaka złodziejka? Gdzie? - Jestem w mundurze, nie mogę ich zbyć.

- Znajomy prosił nas o przypilnowanie mieszkania. Przychodzimy, a ta siedzi sobie, dama jedna! Nie wiadomo, jak wlała! Włamała się! Na pewno przysłała coś ukradnąć!

Idę za nimi. Prowadzą mnie po schodach do jakiegoś mieszkania. Wchodzimy. Widzę, siedzi w fotelu kobieta w futrze. Dość ładna na pierwszy rzut oka.

- Co pani tu robi?

- Jestem znajomą właściciela. Czekam na niego.

- Pójdzie pani ze mną do komisariatu! Wyjaśnimy wszystko! Wszystko sprawdzimy, spisujemy protokół.

Idziemy. Widzę, że jest przystojna. Ładna buzia, zgrabne nogi, zgrabna sylwetka. A przy tym zachowuje się prowokacyjnie:

- Musimy iść do komisariatu? Mam tu niedaleko pokój. Chodźmy tam! - kusi, patrząc na mnie dużymi oczami.

Zbywam ją milczeniem. Dochodzimy do komisariatu. Przekazuję ją dyżurnemu milicjantowi:

- Przesłuchajcie ją! Jest podejrzana o włamanie do cudzego mieszkania. Może coś ukradła?

Przetrzymano ją dwadzieścia cztery godziny i wypuszczono. Po jakimś czasie zagaduje mnie jeden z kolegów:

- Pamiętasz tę ładną panienkę, którą przyprowadziłeś parę dni temu?

- Tak! Pamiętam! A co?

- Klucznik skorzystał z niej i złapał!

[1] Zob. http://www.dbc.wroc.pl/Content/2130/30_Tabo.pdf.

Cdn.



Balustrada balkonu w Przemyslanach.
Rys. Bolesław Kopociński.

Mieczysława Piotrowska

Samotność

Smutna krew żółtym sokiem
krąży w wilczej jagodzie.
Bezdomny anioł dumać nad nią przychodzi,
jak nad leśną krynicą gdzieś na uboczu,
gdzie nie potrzeba skrzydeł ni oczu,
tylko serce samotne w pustce zawieszona,
przekleństwem krwi bolejącej naznaczone...

Wiersz pochodzi ze zbioru *Gdzie jesteś Ojczyzno...* (str. 37) wydawnego przez Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”, a ofiarowanego redakcji przez Autorkę.

Red. Dziękuję p. Igorowi Meggerowi za pozwolenie przedruku artykułu i wprowadzenie wielu zmian, szczególnie w zakresie przypisów. Tekst ukazał się w „Głosach Podolan” nr 152.

Igor Megger

100 lat temu utworzono województwo tarnopolskie. Województwo w liczbach i porównaniach

23 grudnia 2020 roku obchodziliśmy 100 rocznicę utworzenia województwa tarnopolskiego. Po odzyskaniu przez nasz kraj niepodle-

głości władze stanęły przed problemem złączenia trzech podziałów administracyjnych w jeden. Kolejnym problemem było to, że nie w każdym zaborze istniał podział na województwa.

Tworzenie nowych województw przebiegało w czterech etapach zależnych od tego, z jakiego zaboru dane ziemie pochodziły. Tarnopol wraz ze Stanisławowem, Krakowem i Lwowem zakwalifikowano jako tzw. województwa południowe. Etap ten był trzeci w kolejności i obejmował ziemie zaboru austriackiego.

Ustawą z 3 grudnia 1920 roku zjednoczono ustrój byłej Galicji z byłą Kongresówką. Ustawa weszła w życie 23 grudnia 1920 roku, tworząc województwa: krakowskie, lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie. Stan ten, który zwano tymczasowym, potwierdziła ustawa z 17 maja 1921 roku.

Siedzibą władz nowo powstałego województwa został Tarnopol, jako największe miasto województwa. Obszar nowego województwa liczył 16 500 km kw. W skali kraju był on trzecim najmniejszym województwem (po autonomicznym Śląsku i wydzielonej Warszawie), a najmniejszym, jeśli chodzi o województwa *sensu stricto*, choć uczciwie trzeba dodać, że kilka województw nieznacznie je tylko wyprzedzało obszarem.

Podział na powiaty, ich stolice i ich granice były takie same, jak w Galicji, z tym że w Galicji nie było szczebla wojewódzkiego, a tylko powiaty. Spowodowało to, że nie trzeba było wytyczać nowych granic powiatów. Granice między województwami były natomiast kierowane tym, by nowe województwo miało nie za mały teren i zbliżony do innych obszar, dlatego też, pomimo iż niektóre powiaty miały znacznie bliżej do Lwowa czy wręcz z nim graniczyły (Przemyślany i Kamionka), trafiły do województwa tarnopolskiego. Nowe województwo graniczyło z trzema innymi (lwowskie, stanisławowskie i wołyńskie), poprzez rzekę Zbrucz z ZSRR, a poprzez Dniestr z Rumunią.

Województwo dzieliło się na 17 powiatów. Najmniejszą powierzchnię miał powiat czortkowski - 734 km kw., największą powiat tarnopolski - 1231 km kw. Miał on także najwięcej mieszkańców - 142 tysiące, najmniej liczny był powiat zbaraski - 65,6 tysiąca mieszkańców. Województwo liczyło 36 gmin miejskich i 169 wiejskich, w 1939 roku liczyło 36 miejscowości z prawami miejskimi. Liczba ta nie była przez cały czas od początku stała, w 1934 roku trzem miejscowościom prawa miejskie

nadano, a dwóm odebrano. W 1931 roku tylko sześć miast województwa przekraczało 10 tysięcy mieszkańców. Prócz Chorostkowa, który był większy od Husiatyna, nie było przypadku, by miasto powiatowe było mniejsze od innego w powiecie.

W przeciwieństwie do innych województw, w tarnopolskim nie było prawie żadnych zmian terytorialnych, czy to z granicami województwa, czy z powiatami. Jedyna zmiana nastąpiła w 1925 roku, kiedy siedzibę powiatu husiatyńskiego przeniesiono do Kopyczyniec wraz ze zmianą nazwy powiatu. Było to spowodowane dużymi zniszczeniami Husiatyna w czasie I wojny światowej.



Tablica umieszczona w Olesku i poświęcona Janowi III Sobieskiemu z okazji 250. rocznicy zwycięstwa pod Wiedniem.
Fot. Adam Groblewski.

Ludność województwa liczyła w roku 1921 - 1 428 520, a w 1931 - 1 600 400 mieszkańców. W roku 1921 Ukraińcy (Rusini) stanowili 50% mieszkańców województwa, Polacy 45%, Żydzi 5%. 59% mieszkańców deklarowało wyznanie unickie, 31% rzymskokatolickie, 9% mojżeszowe, inne (głównie protestantyzm) 1%. W 1931 roku stan ten zmienił się na korzyść Polaków: 49% do 45% Ukraińców oraz spadł odsetek wiernych unickich na 55%, co zmieniło procent wiernych rzymskokatolickich na 35%. Najwięcej Polaków (według deklarowanego języka) liczył powiat skałacki - 67%, najmniej - 36% było ich w powiatach radziechowskim i brodzkim. Polacy stanowili większość w 9 na 17 powiatów. W pozostałych większością byli Ukraińcy. Żydzi jako narodowość, stanowili w zależności od po-

wiatu 3-8% (najwięcej w Brodach), czwartą narodowością byli Niemcy, ale nigdzie nie stanowili oni 1%. Rzymscy katolicy stanowili większość tylko w powiatach skałackim (51%) i tarnopolskim (44%). W pozostałych przeważali unicy. Wyznanie mojżeszowe deklarowało od 5% do 12%, a protestantyzm tylko w radziechowskim przekroczył 1% - miał on tam 1200 wiernych, tj. 1,8% powiatu. Podsumowując - w województwie

Polacy stanowili większość (choć tylko o kilka procent), czego nie było w województwach stanisławowskim, wołyńskim i poleskim. Wierni rzymskokatolicy podlegali w całości archidiecezji lwowskiej, wierni unicy diecezjom lwowskiej i stanisławowskiej (granica szła w poziomie przez środek naszego województwa), a prawosławni diecezji warszawsko-chełmskiej.

Analfabetyzm na terenie województwa wynosił w 1921 - 39% (w kraju łącznie 33%), a w 1931 - 29% (23%); pomimo iż był wyższy niż średnia krajowa, był najniższy ze wszystkich pięciu województw graniczących z ZSRR oraz od stanisławowskiego.

Ziemiaństwo stanowiło znaczny odsetek ludności województwa. W 1930 na jego terenie było równo 1000 majątków ziemiankich. Najwięcej - 73 w powiecie Borszczów, najmniej - po 40 w powiatach Brody i Kamionka.

Zbrojnie województwo tarnopolskie wraz ze stanisławowskim oraz wschodnią częścią woj. lwowskiego podlegało VI Okręgowi Korpusu we Lwowie. Z wielkich jednostek wojska Tarnopol był siedzibą 12 Dywizji Piechoty, Brody - Kresowej Brygady Kawalerii, a Czortków Brygady KOP „Podole”. W województwie były cztery miasta, w których mieściły się Sąd Okręgowy i Sąd Grodzki.

Na terenie województwa znajdowały się przejścia graniczne. Z Rumunią dwa z urzędami celnymi, tj. Kozaczówka (pow. Borszczów) - Prigorodroc oraz Zaleszczyki - Criștiatic (także kolejowe) oraz dwa bez urzędów: Uście Biskupie (pow. Borszczów) - Sămușeni oraz Gródek (pow. Zaleszczyki) - Vasilău și Culeuți. Z ZSRR w Husiatynie, Podwołoczyskach - Wołoczyskach (także przejście kolejowe) oraz Skale Podolskiej (pow. Borszczów).

Od 1921 roku na mocy Konstytucji Marcowej województwo było podzielone na dwa okręgi wyborcze - zachodni nr 55 Złoczów z 9 mandatami i wschodni nr 54 Tarnopol z 10 mandatami poselskimi. Liczba senatorów stanowiła $\frac{1}{4}$ liczby posłów. Po Konstytucji kwietniowej 1935 w województwie znajdowało się pięć okręgów wyborczych, na każdy okręg przypadały po dwa mandaty poselskie. Wybory do Sejmu były bezpośrednie. Natomiast w wyborach do Senatu, który liczył 96 senatorów - 32 mianował prezydent, a 64 osoby wybierano na kolegiach wojewódzkich. Na województwo tarnopolskie przypadało dwóch senatorów.

Na terenie województwa znajdowało się (dane z 1938 roku)

łącznie 12 pośrednictw pocztowych, 152 agencje oraz 43 urzędy pocztowe. Daje to łącznie na województwo 208 punktów pocztowych z 837 wtedy istniejących łącznie w trzech województwach południowoschodnich. Najwięcej punktów było w powiecie tarnopolskim i borszczowskim - 18, najmniej w zbaraskim - 7. Podlegały one wszystkie Lwowskiej Dyrekcji Poczty i Telegrafów. Na terenie naszego województwa były dwa okręgi pocztowe: jeden mniejszy północno-zachodni z sześcioma powiatami i drugi większy, z siedzibą w Tarnopolu (11 powiatów).

W województwie na 100 km kw. przypadało 5,6% km linii kolejowej (dane z 1939 roku), łącznie w kraju przypadało wtedy 5,2 km, w Niemczech 11 km, we Francji 7,7 km, we Włoszech 3,9 km. Główna linia to jednotorowa odnoga z dwutorowej linii Lwów - Mohylany, która biegła przez województwo wołyńskie. Ta właśnie odnoga rozgałęziała się w Tarnopolu, gdzie a) szła na Podwołoczyska, b) Berezowicę, Kopyczyńce, Czortków, a w Czortkowie na Zaleszczyki i Okopy. Łączyła się ona w kilku miejscach z drugą odnogą, która szła ze Lwowa przez Halicz do Kołomyi.



Zamek w Złoczowie. Stan z 2011 r.
Fot. Adam Groblewski.

Jeśli chodzi o motoryzację, to jedyna droga I kategorii na Kresach Południowo-Wschodnich biegła pomiędzy województwem tarnopolskim a stanisławowskim ze Lwowa do rumuńskiej granicy. Brak na Kresach dróg II kategorii. Tablice rejestracyjne pojazdów w województwie rozpoczynały się na litery TR.

Lotnictwem w województwie zajmowała się Liga Obrony Przeciwpowietrznej i Przeciwigazowej (LOPP). Biuro Okręgu (o granicach województwa) było w Tarnopolu przy ul. Mickiewicza 39, tam też mieścił

się otwarty w 1935 roku ośrodek propagandowy LOPP. W 1938 roku okręg liczył 53 tysiące członków oraz posiadał trzy lotniska: w Brodach, Brzeżanach i Tarnopolu.

Na terenie województwa urodziło się dwóch laureatów Nagrody Nobla: Szmuel Josef Agnon, urodzony w 1888 roku w Buczaczu (1966 - literacka), oraz Roald Hoffman, urodzony w 1937 roku w Złoczowie (1981- chemia).

Urząd Wojewódzki znajdował się w Tarnopolu przy ulicy 29 Listopada 4. We wrześniu 1922 roku Sejm uchwalił ustawę dającą województwom tarnopolskiemu, lwowskiemu i stanisławowskiemu pewną autonomię. Miano powołać dwuizbowy sejmik z dwoma narodowościowymi kuriami. Kurie poza sprawami wewnętrznymi województwa (prócz reformy rolnej i szkolnictwa wyższego) miały mieć także wpływ na wybieranie zastępców wojewody, a wydział wojewódzki miał dzielić się na dwie części narodowe. Przy zatrudnieniu urzędników miano zwracać uwagę na ich narodowość, by zgadzała się z potrzebami mieszkańców. Dziennik urzędowy miał być prowadzony w dwóch językach. Zakazano także kolonizacji ziemskiej na terenie województwa. Ustawa ta nigdy nie weszła w życie.

Wojewodami tarnopolskimi byli kolejno:

Karol Olpiński, 23 kwietnia 1921 - 23 stycznia 1923 (1876-1944, lwowianin).

Lucjan Zawistowski, 24 lutego 1923 - 16 lutego 1927 (1876-1947, krakowianin).

Mikołaj Kwaśniewski, 16 lutego 1927 - 28 listopada 1928, p.o. do 28 grudnia 1927, (1871 -1941- ur. w guberni kijowskiej, zginął w Auschwitz).

Kazimierz Moszyński, 28 listopada 1928 - 10 października 1933 (1881 - 1966, urodzony w obwodzie Żytomierz, od 1933 roku honorowy obywatel Tarnopola).

Artur Maruszewski, 21 października 1933 - 15 stycznia 1935, p.o. do 6 marca 1934, (1886 - 1945, warszawiak).

Kazimierz Gintowt-Dziewiałtowski, 19 stycznia 1935 - 15 lipca 1936, p.o., (1892 - 1936, urodzony w Irkucku).

Alfred Biłyk, 15 lipca 1936 - 16 kwietnia 1937 (1889 - 1939, lwowiak, popełnił samobójstwo po przekroczeniu granicy z Węgrami).

Tomasz Malicki, 16 kwietnia 1937 - 17 września 1939 (1885 - 1951,

urodzony w pow. Rzeszów).



Herbem województwa tarnobrzeżskiego była *Tarcza dwudzielna - w polu prawym białym złote słońce; w polu lewym czerwonym - gryf biały w koronie złotej, zwrócony w lewo, ze skrzydłami i łapami przednimi wspiętymi do góry*. Gryf był w I RP herbem województwa bełskiego, a słońce podolskiego. Ziemia, na które się województwo tarnobrzeżskie składało, należały w czasach I RP głównie do województwa ruskiego, ziemia halicka (m.in. Brody, Złoczów, Brzeżany, Tarnopol, Trembowla, Buczacz, Czortków) częściowo woj. wołyńskiego (późniejszy powiat Zbaraż) oraz podolskiego (pow. Borszczów), z woj. bełskiego była tylko ziemia buska (część powiatu Kamionka). Słońce na herb Podola nadał

nowo powstałemu województwu podolskiemu w 1434 roku król Władysław III Warneńczyk. Słońce do dnia dzisiejszego jest herbem Podola (obecnie w herbie obwodu chmielnickiego).

W czasach ZSRR Tarnopol stał się siedzibą obwodu tarnobrzeżskiego. Jego granice w dużej mierze pokrywały się z granicami polskiego województwa, prócz jego północnej granicy - odłączono powiaty Przemyślany, Brody, Kamionka, Radziechów i Złoczów, które trafiły do obwodu lwowskiego, a przyłączono Krzemieniec. Na terenie obwodu powstało 17 rejonów (powiatów). Stan ten utrzymał się do roku 2020, kiedy to zmniejszono liczbę rejonów - z 17 powstały 3: tarnobrzeżski, krzemieniecki i czortkowski, granice obwodu jak i nazwa pozostały bez zmian.

Wydarzenia z powiatu Przemyślany podane w *Kurjerze Lwowskim* (cz. IV)

Pobicie. Włościanie wsi Borszewa [*Borszowa - J. W.*] koło Przemyślań, pobili wójta swego za rozmaite malwersacje tak silnie, iż życie jego wisi tylko na włosku i ksiądz miejscowy udzielił mu już ostatnich sakramentów. Starostwo przemyślańskie poleciło lekarzowi powiatowemu odwiedzać chorego co dzień. Winnych aresztowano. (5.12.1891 r.)

W Glinianach, pow. przemysłański, spłonęło 10 zagród włościańskich, szkoda 8214 zł. W Lipowcach, pow. przemysłański, 7 zagród, szkoda 3.800 złr., ubezpieczona. (24.12.1891 r.)

W Przemyslanach spłonął dom, zwany ratuszem, *własność hr. Romana Potockiego*, szkoda 4000 zł., ubezpieczona. Nadto spłonęły w tymże domu towary kupców żydowskich tam mieszkających - nieasekurowane. (10.03.1892 r.)

Zbrodnia czy samobójstwo. Donoszą nam z Glinian: M. Kryworaczka nauczycielka w Krzywsiach [*Krzywicach - J. W.*] pow. przemysłańskiego zakończyła wczoraj nagle życie. Lekarz skonstatował otrucie. Śledztwo sądowe wykaże, czy w wypadku tym zachodzi samobójstwo czy też zbrodnia - jakkolwiek wszelkie okoliczności przemawiają za tą drugą alternatywą. Powodem zaś nędza. (3.04.1892 r.)

Weksle nieostemplowane. Oddział straży skarbowej w Przemyslanach zakwestjonował u Samuela Katza 10. bm. 30 sztuk weksli i znaczną ilość dokumentów nieostemplowanych na kwotę kilku tysięcy złr. (18.05.1892 r.)

Kraj. Rada szkolna zamianowała nauczycielami Karola Leega w Kosteniowie i Wacława Baczyńskiego w Przegnojowie. (26.05.1892 r.)

Piorun we wsi Dusanowie pow. przemysłański, zabił 24. czerwca izraelitę Jojnę N. 50 lat liczącego, który powracał z pola. Gdy wielki deszcz się puścił, chciał on schronić się na zagrody pod chłopską kopiec koniczyny. Dwa kroki od kopicy uderzył grom i obsmalił nieszczęśliwego tak, że z ucha krew buchała. (2.07.1892 r.)

Posady ekspedjentów pocztowych otrzymali: w Świrzu Rozalia Grochowalska, w Słowicie Jal. Imrychowski. (10.07.1892 r.) [*Rozalia z Rozwadowskich Grochowalska (1833-1899) była żoną Zygmunta, poczmistrza w Świrzu. Zapewne z powodu choroby męża (zmarł 5.04.1894 r.), zdecydowała się na powyższą posadę - J.W.*]

Wykopalisko. Przed kilku laty w Jaktorowie, majątku Jakóba hr.



Przemysłany - widok południowej części miasta z kościołem parafialnym.
Stan z początku XX w. Źródło: www.przemyslany-sdb.com.

Potockiego pod Grodziskiem, odkopano w ogrodzie cztery urny, w których znajdowały się resztki ciał spopielenych, obrączki, bransolety i drobne pieniądze. Trzy urny uległy zniszczeniu, czwarta zaś została dotąd dobrze przechowana. W tych dniach w tymże samym ogrodzie przy kopaniu głębszych rowów natrafili robotnicy znów na dwie urny. Sądząc, że są to garnki, zawierające pieniądze, obie rozłukli. Z jednej urny pozostał tylko spód, z drugiej same tylko drobne kawałki. (25.07.1892 r.)

Nowe poczty. Z dniem 1. września br. wejdzie w życie ck urząd pocztowy w Słowicie, leżącej na drodze pomiędzy Olszanicą a Podhajczykami. Okręg doręczeń tego urzędu stanowią będą gminy i obszary dworskie Słowita, Jaktorów i Krzywice. (25.08.1892 r.)

Pożar w gminie Borszów, w pow. przemysłańskim zniszczył 22. b. m. 10 zagród włościańskich wraz z budynkami gospodarskimi i zapasami zboża. Ogólna szkoda wynosi 10.600 złr., a zabezpieczona była tylko na 1080 złr. (28.08.1892 r.)

Nauczycielami ludowymi zostali mianowani: Stanisław Gergowich w Niedzieliskach i Antonina Poturajówna w Janczynie. (16.09.1892 roku)

W ostatnich dniach w pożarze w Glinianach spłonęło 22 gospodarstw, szkoda wyniosła 7317 zł. (29.09.1892 r.)

Krajowa Rada szkolna zamianowała Hilarego Dobrzanickiego stałym nauczycielem w Przemyślanach. (5.11.1892 r.)

W ubiegłym miesiącu w Dunajowie zgorzało 6 zagród, straty wynoszą 3100 zł., wszystkie nieubezpieczone. (8.11.1892 r.)

Z funduszu szkół ludowych i Sejmu przekazano po 100 zł gminie w Tuczej i Połonicy na budowę szkół. (21.11.1892 r.)

Przemyślany 30. listopada. (*Kółka rolnicze. Obchód narodowy.*)
Zawiązane tu od lat sześciu kółko rolnicze, spało dotąd snem sprawiedliwych, przerywanym zaledwie raz na rok posiedzeniem zarządu, który sprawdziwszy iż inaczej być nie może, dawał absolutorjum całej sprawie, za przespanie i pozwolenie na wyspanie. Obecnie dopiero, dzięki interwencji ludzi dobrej woli, a szczególnie tutejszego duchowieństwa łacińskiego, kółko przebudziło się dając silny znak życia energiczmem rozwijaniem się. Pierwsze zgromadzenie, które się odbyło w d. 13. zm. liczyło już przeszło 40 członków. Mieszczanie żywo zainteresowani, przystępują tłumnie do kółka i aż dusza raduje się, patrząc na ich wesołe i chętne twarze. Objaw to, pobudzający do zagadkowego milczenia wobec tutejszych braci starszych, którzy stoją dotąd z założonemi rękami na tak żywą i szczerą chęć braci młodszych, do wiedzy i pracy - do miłości Boga, ojczyzny i bliźnich.

D. 3. grudnia o g. 8 rano odbędzie się w tutejszym kościele nabożeństwo żałobne za poległych w powstaniu listopadowem.

Alfons Czajkowski od 16 lat poseł sejmowy z większych posiadłości okręgu brzeżańskiego zmarł w Dussanowie [*Dusanów - J. W.*] koło Przemyślan. W r. 1887 wybrany został do Rady państwa. W sejmie należał do tzw. Ateńczyków. W sejmowej pracy w ostatnich latach po rozbiciu centrum niewiele brał udziału. Chorował od dwóch lat na nerwy a od kilku miesięcy nie wyjeżdżał z Dussanowa. (2.12.1892 r.)

Rewizja sądowa odbyła się w Dunajowie u włościanina Eljasza Niemirowskiego d. 22. bm. Rewizja, którą przeprowadzał sędzia zło-
czowski p. Charak, trwała trzy godziny. Pytał Niemirowskiego, dlaczego
był na odpuście w Poczajowie i dlaczego chce emigrować do Rosji. Na to
ostatnie odpowiedział Niemirowski, że sprzykrzył mu się ciągły dozór ze
strony żandarmerji, która śledzi za każdym jego krokiem, jak za jakim
zbrodniarzem.

Zmarli. W Świrsku [*Świrzu - J. W.*] ks. kanonik Michał Jaworski,
dziekan, 29. bm. w 70 roku życia, a 43 r. kapłaństwa. (31.12.1892 r.)

Poczmistrz Wiktorię Towarnicką przeniesiono z Sosnowa do Jan-
czyna. (12.01.1893 r.)

Obchody narodowe. Przemyślany. W dniu 31. stycznia br. odbyło
się tu żałobne nabożeństwo za poległych w r. 1863 w walce o niepodle-
głość narodu. Licznie zgromadzona publiczność z łona inteligencji a wię-
cej jeszcze z łona ludu, miała więc znowu sposobność uczestnictwem
w nabożeństwie tem, dać wyraz wielkiej czci i pamięci dla poległych za
świętą sprawę.

Dzięki szczerym uczuciom patryjotycznym tutejszego duchowieństwa,
nabożeństwo to miało nastrój nadzwyczaj poważny i uroczysty; do czego
nie mało przyczyniło się ubranie katafalku w wieńce z sośniny, w sztan-
dary i kosy z krakuską. Zebrane podczas nabożeństwa datki w łącznej kwocie
8 zł. 52 ct. na rzecz towarzystwa weteranów z r. 1863 odesłano do ad-
ministracji *Kurjera Lwowskiego*. (11.02.1893 r.)

Napad na nauczyciela. Z Przemyślan donoszą nam: We wsi Ła-
hodowie, podczas nabożeństwa w uroczystość Trech świątyteli (11. lu-
tego) wpadli zapici chłopci o godzinie 8. rano do nauczyciela, który do-
piero w jesieni objął posadę i kazali mu się zabierać ze wsi za to, że każe
dzieciom przynosić pieniądze na zeszyty: „My na durnyci hroszi ne
budemo dawaly i do nas prawa nichto ne maje - ano zabyrajto sia wid nas”.
Nauczyciel, widząc, że mu niebezpieczeństwo grozi, opuścił szkołę
i schronił się na probostwo, zamykając drzwi od swojego lokalu. Chłopci
wpadli do pomieszkania nauczyciela, zabrali mu wszystko co miał,
srebrny zegarek wartości 20 złr., paltro, futerko i inne rzeczy wartości 150
złr. koldrę i poduszkę rzucili pod nogi i wycierali sobie buty, a następnie

podarli w drobne kawałki i wyrzucili z pomieszkania. Po wyjściu ze szkoły udali się chłopci w liczbie do 40 na probostwo, wyłamali drzwi, złapali nauczyciela za ręce, wyciągnęli z pomieszkania na podwórze, by doraźny z nim sąd zrobić. Jedni krzyczeli, aby go zabić, drudzy aby go związać i zbić. Na to wszystko wyszedł ksiądz z cerkwi i upominał ich, aby się zastanowili co robią. Chłopi krzyknęli: *ubyty napered ksiądz!* Ksiądz widząc, że chłopci są rozbestwieni zamknął się w pomieszkaniu i wyprawił posłańca konnego do Kurowic po żandarmów. Dopiero po przybyciu żandarmerii chłopci się rozeszli. Nauczyciel obecnie pozostaje bez posady, a chłopci tryumfują, że do nich „prawa nikt nie ma”. (Zdaje się, że władze stosowne poczynią kroki, aby nauczycielstwo zasłonić od podobnych wybryków. Red. K. L.). (23.02.1893 r.)

Mianowania. Rada szkolna kraj. zamianowała nauczycielami szkół ludowych: Aleksandra Chuderskiego w Rozworzanach, (...) (15.03.1893 r.)

Rada szkolna kraj. zamianowała nauczycielami szkół ludowych: Jana Wertyporocho w Laszkach królewskich. (20.04.1893 r.)

Wieś Podhajczyki ponownie 10. bm. dotknięta została pożarem. Spłonęło 62 budynków, własność 28 gospodarzy; szkoda wynosi około 15000 zł. Przyczyną pożaru było pozostawienie dzieci bez dozoru, któ-



Panorama wsi Dusanów w wiosennym słońcu. Źródło: www.art.ua.

rych rodzice zajęci byli sadzeniem kartofli w polu. (13.05.1893 r.)

Mianowania. Zamianowano nauczycielami szkół ludowych: Filipinę Kalinowiczową w Meryszczowie. (31.05.1893 r.)

Cdn.

Niemieccy naziści ze Lwowa w komitywie z banderowcami

Red. W Zeszytach Historycznych (nr 147 z 2004 r. str. 175) Instytutu Literackiego w Paryżu znajduje się tekst Grzegorza Mazura pt. Niemiecka „Piąta kolumna” we Lwowie. Poniżej kilka zdań z końcowej części artykułu.

(...) Lwowscy Niemcy na długo przed wybuchem II wojny światowej przestali być lojalnymi obywatelami II RP, przygotowując się do wystąpienia przeciwko niej i organizując w tym kierunku współpracę z irredentą ukraińską. W społeczności niemieckiej ścierały się różne prądy polityczne, ale ostatecznie najsilniejsi w niej okazali się naziści. Nikt jeszcze wtedy we Lwowie nie przypuszczał że stanowią oni zagrożenie dla całej lwowskiej społeczności bez względu na narodowość.

Przeciwdziałanie władz polskich okazało się zbyt słabe i nie posiadały one możliwości zareagowania adekwatnego w stosunku do stopnia zagrożenia, a zastosowanie metod w rodzaju internowania osób niepewnych na wypadek rozpoczęcia działań wojennych było niewykonalne, toteż nie przyniosło pożądanых rezultatów.

Zagrożenie ze strony niemieckich mieszkańców Lwowa trwało w dalszym ciągu w okresie niemieckiej okupacji. Wielu z nich pojawiło się bowiem na okupowanych terenach powtórnie, tym razem w mundurach gestapo, a znając teren, bardzo skutecznie zwalczali podziemie. Klasycznym tego przykładem są postacie dwóch braci, wywodzących się z mniejszości niemieckiej: Johanna Mauera, urodzonego 27 VI 1914 r. we Lwowie i Wilhelma Mauera, urodzonego 28 VII 1918 r. w Reichenbachu koło Lwowa. W latach 1941-1944 pierwszy z nich stał na czele oddziału III-A

(walka z polskim podziemiem) urzędu Sipo und Grenzpolizeikommissariat des SD w Stanisławowie a drugi był jego podwładnym. W 1966 r. stanęli oni przed sądem w Wiedniu, oskarżeni o zbrodnie wojenne.

Adam Groblewski

Garść wieści ze wschodu

Drogi Panie Józefie! Pozdrawiam Pana serdecznie z białego Białegostoku w tym przedświątecznym okresie. Dziękuję bardzo za zeszyty, które regularnie od pana otrzymuję drogą elektroniczną. Przykro mi, że nie mogę się teraz podzielić swoimi wspomnieniami z wyjazdów na Ziemię Lwowską - od momentu wybuchu wojny na Ukrainie rzecz jasna - tam nie jeżdżę, chociaż są odważni, którzy regularnie odwiedzają Przemyślany. (...) Mimo tego, że już czwarty rok nie byłem w Przemyślanach i okolicach, to na bieżąco jestem z wiadomościami z tamtych stron. W stałym kontakcie jestem z ks. Piotrem Smolka i koleżankami, które mieszkają w Przemyślanach. Dzięki Panu Bogu na Ziemię Lwowską nie docierają działania wojenne, chociaż wcześniej zdarzało się, że spadały pojedyncze pociski. Alarmy przeciwlotnicze są ogłaszane jak najbardziej, ale całe szczęście tylko na alarmach się kończy.

Ks. Piotr ma się dobrze, jest zdrowy i nieustannie niesie pomoc potrzebującym parafianom i innym potrzebującym, kto się o pomoc zwróci. Nie ma już tak dużo uchodźców jak na początku wojny, którzy uciekając do Polski znajdowali schronienie na plebanii w Przemyślanach. Obecnie w parafii jest jeszcze ks. Józef, który pomaga ks. Piotrowi w codziennych obowiązkach. Kościoły w Chlebowicach, Ciemierzyńcach, Mitulinie, Pletenicach i Pohorylcach są oczywiście czynne, księża dojeżdżają tam na msze św., a w tygodniu są miejscami spotkań okolicznych mieszkańców i dzieci, których jest coraz więcej. Do Przemyślan dociera stała pomoc z Polski - jak wspominałem są osoby, które nie boją się jeździć na Ukrainę i zawożą tam transporty z darami. Parafianie są bardzo wdzięczni za pomoc od rodaków z Polski, bo obecnie na Ukrainie żyje się jeszcze gorzej niż przed wojną, a z tego, co mówiły moje znajome, ceny na podstawowe produkty spożywcze bardzo wzrosły.



Widokówka z Przemyśla nawiązująca do umieszczenia dzwonu na wieży kościoła rzymskokatolickiego. Kartkę nadesłał p. Adam Groblewski.

Z ks. Piotrem widziałem się w marcu tego roku, gościliśmy go na kazaniach w jednym z kościołów w Białymstoku i u siebie w domu. Bardzo miłe było to spotkanie - ks. Piotr jest bardzo pogodnym i wesołym człowiekiem z ogromnym poczuciem humoru. W przyszłym roku też najprawdopodobniej będzie u nas nasz drogi proboszcz. (...)

Tyle nowin panie Józefie zza wschodniej granicy... Jestem też w stałym kontakcie z naszą panią Władzią Polakiewicz, która w lutym skończy 93 lata. Mimo swego pięknego wieku nadal jest aktywną osobą, często rozmawiamy ze sobą - zawsze wraca wspomnieniami do szczęśliwych lat dzieciństwa spędzonych u dziadków w Przemyślanach, tragicznych latach zsyłki na Sybir i okresu spędzonego w Afryce. Pani Władzia jest samodzielna, ma przy sobie syna, który w razie potrzeby służy pomocą. Przesyłam Panu pozdrowienia od pani Władysławy. (...)

Życzę pomyślności wszelkiej w Nowym 2024 Roku i dalszych sukcesów w redaktorskiej pracy. Pozdrawiam serdecznie.

Krystyna Salkitzłoglou

O chłopach, panach i o państwie świrskim (cz. III)

Zdaniem Austriaków szlachta polska nienawidziła monarchii nie tylko dlatego, że była obca i zaborcza, ale dlatego, że rząd cesarski

utrudniał jej wykorzystywanie chłopów. To, co chłopci uzyskali od „obcego państwa”, czego inna klasa mieszkańców nie miała, to prawo bezpłatnej reprezentacji w sądzie i zwolnienia z opłat sądowych [11]. Zaskarżenie niesprawiedliwego pana do sądu było jedną z metod chłopskiego oporu. Tych, którzy pomagali chłopom skierować sprawę do sądu, jak np. Deczyński, nazywano „pieniaczami”. Byli to zazwyczaj piśmienni chłopscy synowie, którzy pomagali bliźnim redagować treść supliki. Zapewne słyszeli od wzburzonych włościan coś w rodzaju: „Pisz pismaku jak siekiera, raz być musi prawda szczerą”. Widocznie nie brakowało „pieniaczy” i w państwie świrskim, skoro jeden z późniejszych właścicieli Świrza, Ignacy Thuille, ... *trzeźwy kalkulator szacujący wieś (Łówcza) w 1838 roku na 12 tys. złp. Analizując atuty przemawiające za pozbyciem się dóbr w Świrzu i nabyciem innych, brał pod uwagę „procesliwość” świrskich chłopów. Łówczę oczywiście nabył z chłopami. Może byli oni mniej „procesliwi”, ale podobnie jak i chłopci innych wsi galicyjskich, zależnie od wielkości posiadanej ziemi, obciążeni byli do 1848 roku powinnościami pańszczyźnianymi*” [Za; *Pamiętka zniesienia pańszczyzny w Łówczy*]. Widocznie J.W.P Thuille miał podstawy, by obawiać się wyroku sądu reprezentującego „obce państwo”. Na wyrokach sądu polegało to „wtrącanie się obcych” w „rodzinne relacje” na polskiej wsi, o którym wspominał Aleksander Cetner.

Podobno „pieniactwem” zajmowali się mężczyźni, a kobiety częściej stosowały inny, natychmiastowy sposób wymierzania „sprawiedliwości” – rzucenie „złego uroku”, pomówienie. Groźniejszą metodą było podpalenie. Najstraszliwszym dla panów wyrazem chłopskiego gniewu była rabacja, czyli powstanie chłopskie, które wybuchło w 1846 roku w Galicji Zachodniej. Na początku XX w. Stanisław Wyspiański nawiązał do tego koszmaru w „Weselu”, gdzie ustami Pana Młodego powiedział: *Myśmy wszystko zapomnieli, mego dziadka piłą rżnęli*. Szlachtę dopadł strach o własne życie i nie sprzeciwiała się już, kiedy na Wielkanoc 1848 roku Austriacy znieśli pańszczyznę.

Przekleństwem polskiej wsi było pijaństwo. Hieronim Łodyński, w połowie XIX wieku właściciel dóbr w powiecie złoczowskim pisał tuż przed rabacją galicyjską o powodach niskiego poziomu rolnictwa w Galicji (1845): *Zdaniem mojem wielką (...) przyczyną jest brak moralnego usposobienia włościan, pijaństwo i niegodny ich stosunek do właścicieli dóbr*. Zaznaczał też, że nie wolno sprzedawać pańszczyzny, czyli uwłaszczyć

chłopów, bo wtedy gospodarka Galicji ostatecznie by upadła [12].

Wódka była dla chłopów lekarstwem na wszystkie smutki, na chorobę, a także dostarczała mu kalorii trzymających go przy życiu, kiedy nie było co jeść. Jeszcze za czasów Rzeczypospolitej Stanisław Staszic pisał o chłopach: *Tylkoć też tyle mojego, co przepiję – oto jest hasło rolnika polskiego*". Opinię Staszica przytacza Kacper Pobłocki, w książce „Chamstwo”. Zdaniem autota książki, trzysta lat pańszczyzny, to trzysta lat konsekwentnego rozpijania polskiego ludu. Wódka stała się najbardziej dochodową gałęzią pańskiej gospodarki. Polszcza (Rzeczpospolita) nie funkcjonowała jako spichlerz Europy. Od końca XVII wieku główny rynek zbytu na zboże stanowiła rodzima wieś, a w zasadzie włościańskie gardła. Zboże, uprawiane siłą pańszczyźnianych rąk przerabiano na wódkę, a tę wciskano klasie ludowej. Jednym z poddańczych obowiązków było kupno u swojego pana, (czyli w karczmie dworskiej) rocznego kontyngentu wódki, lub piwa, bez względu na to, czy chciał to pić, czy nie. Nie wolno było pić w obcej karczmie, chociaż obcy chłopcy w każdej karczmie byli dobrze widziani. Z jednej strony zmuszali chłopów by pili wyłącznie wódkę produkowaną wyłącznie przez jego pana, a z drugiej, nie mieli nic przeciwko, aby do ich karczm przychodzili poddani z okolicznych wsi. (Co za hipokryzja!) Im chłop był bardziej rozpijany, tym gorzej pracował, im gorzej pracował, tym częściej go bito, a im więcej cierpiał, tym większą ochotę miał, by się napić [13].

Dokumenty sporządzone przez Austriaków po wejściu do Chlebowic pod koniec XVIII wieku mogą dowodzić o słuszności powyższej opinii. Karczma dworska znajdowała się tuż za jedynym mostem, w samym centrum wsi. Każdy chłop idąc na pański łąn, musiał koło niej przechodzić, przynajmniej dwa razy w ciągu dnia. To przy karczmie zwykle karbowy, kierujący robotami w folwarku, wydawał chłopom kwity, a gdzie indziej karby zrobione przez niego na kiju, potwierdzające ilość wykonanych dniówek. Za takie „karby” można było pójść do karczmy, kupić sól, może też wędzoną rybę pochodzącą z pańskiego stawu, jakąś igłę czy garnek..., ale przede wszystkim, można się było napić wódki. („Karbowanie” musiały na długo odcisnąć się w pamięci, skoro tuż po odzyskaniu niepodległości Ukraina pierwszą swoją walutę nazwała właśnie karbowaniami. Nic dziwnego, że pieniądz ten był byle jakiej jakości, łatwy do podrobienia i w zasadzie bez wartości.) W Chlebowicach była też druga karczma, należąca do pana Manczakowskiego. Ta prawdopodobnie znaj-

dowała się na południu wsi przy trakcie krajowym ze Strzelisk przez Lubeszkę. W pobliżu płynęła rzeka i stał młyn (wg kolejności nieruchomości w metryce józefińskiej). Zapewne chłop, który w ramach „podwoły” (pańszczyzny polegającej na podwózce) miał zawieść zboże do tamtego młyna, mógł poczekać w karczmie znajdującej się w pobliżu. Wydaje mi się, że było to najciekawsze miejsce w całej wsi. Można tam było nadstawić ucha na wiadomości „ze świata” spoza folwarku, powiedzieć coś, czego Żyd – arendarz, nie doniósł Żurakowskiemu.

Żydowskie dzieci, czego można się dowiedzieć chociażby z Olgi Tokarczuk „Książ Jakubowych”, uczono liczb i liter, żeby mogły lepiej zrozumieć Torę. Chłopskie dzieci zaczynały swoją „edukację” od pilnowania drobiu. Panowie oddawali prowadzenie karczmy Żydom, bo Żydzi umieli pisać i rachować, a poza tym byli obcy, nie związani z chłopami relacjami pokrewieństwa. Mogli informować pana o nastrojach panujących wśród chłopów.

Za prawo do arendy Żyd był winien panu wysoką roczną opłatę. Książ Sebastian Sierakowski (1743 – 1824), senator Rzeczypospolitej Krakowskiej, uważał, że przyczyną pijaństwa są Żydzi i źle rozumiany pożytek. Przekonywał, że osadzając żydowskiego karczmarza w pogoni za krótkoterminowym zyskiem, właściciel majątku zmniejsza swoje dochody w długiej perspektywie. *Karczma prowadzona przez Żyda stanowi bowiem źródło chłopskiej nędzy, a biedni chłopci oznaczają gorsze gospodarowanie. Ponieważ jednak dziedzic doraźnie dużo zyskuje na karczmie, wykorzenienie pijaństwa musi być trudne, tym bardziej, że w Polsce nikt nie planuje w długiej perspektywie i nikt nie chce inwestować, za to wszyscy chcą szybko zarobić z dziedzicami na czele [14].*

Któryś z bohaterów „Lalki”, bodajże ojciec subiekta Szlangbauma powiedział, że Polak jak ma „jeden złotych” to zastanawia się, na co to „jeden złotych” wydać, a Żyd zastanawia się w co to „jeden złotych” zainwestować. Rozumiem dlaczego wszyscy - od arystokracji po chłopów - z czasem uzależniali się od żydowskich pożyczek - a od tego uzależnienia do antysemityzmu była już krótka droga.

Jan Smółka ze wsi Dzików koło Tarnowa, w spisanych przez siebie „Pamiętnikach włościanina”, opowiada o częstym zjawisku pożyczania zboża u karczmarza. Po uwłaszczeniu, kiedy chłop nie mógł już liczyć na „ojcowską” pomoc pana, a na przednówku głód zajrzał w oczy jemu i jego rodzinie, szedł do karczmy i w zamian za podpisanie jakiegoś papieru

podsuniętego przez Żyda, pożyczał zboże, zobowiązując się do oddania pożyczki z odpowiednim „procentem” po żniwach. Jeżeli się z tego nie wywiązał, tracił grunt i majątek.

Dok. III. Adwent. d. 15. kwietnia 1899.			
45.	Wacław Chłaniński gosp.	Świr	1.
46.	Wacław Żadyczny parobek.	"	1.
47.	Wacław Biedziński	Chlebowice	1.
48.	Antoni Łobanowski gosp.	Świr	1.

Fragm. wykazu osób z parafii świrskiej deklarujących wstrzemięźliwość spożywania wódki.

Chłopi nosili też zboże do karczmy nie tylko wtedy, gdy mieli oddać dług, ale by się napić. Być może i w Chlebowicach robiono tak, jak to opisuje Smółka: *W niektórych wsiach był zwyczaj, że chłopi zaraz po wymłóceniu zboża nosili je do karczmy po wódkę. Każdy niósł je w torbie z łyka lipowego pod kamizelą. Kamizelę wdziewał wtedy tylko jednym rękawem, drugi zaś spadał wolno po ramieniu, na którym torba wisiała. Ramię obciążone torbą, nachylało się ku ziemi. Gospodarz szedł przez wieś dumnie (każdy wiedział, co pod kamizelą niesie, a gdy wszedł do karczmy, był witany przyjaźnie przez obecnych tam i zboże składał Żydowi. Za to pił zaraz i częstował drugich, a ci znowu innym razem odwzajemniali się [15].*

Autor pamiętnika opowiada też o akcjach, jakie prowadzono w kościele by uniezależnić się od wódki. *Straszne to pijaństwo szerzące się wszędzie, zwalczały bardzo skutecznie misje kościelne, na których ludność tłumnie odprzysięgała się wódki. Ja przysięgałem w roku 1869. Były wtedy przez osiem dni misje w kościele parafialnym w Miechocinie; księża krzyczeli najwięcej na pijaństwo, na koniec wzywali uroczysto do przysięgania od palących trunków przez podniesienie rąk. Podniosłem wtedy rękę do góry i od tego czasu nie miałem wódki w gębie. To mnie ustrzegło od niejednego upadku w życiu, zaoszczędziło mi wiele pieniędzy, czasu i zdrowia że przy tym nie palę też tytoniu, więc dotychczas, choć mam już osiemdziesiąt siedem lat i w życiu niemało pracowałem, nie byłem nigdy u lekarza, nie przechodziłem ciężkiej choroby i niejeden podziwiał moje zdrowie [16].*

Wg autora „Chamstwa”, w okresie kiedy schamienie klasy ludowej osiągnęło swoje apogeum, w latach 1844-1855 setki tysięcy galicyj-

kowych, 3,133 kg zegarków na rękę - srebrnych, 1,256 kg zegarków na rękę - złotych. (...) (F. Katzman, *Rozwiązanie kwestii żydowskiej w Dystrykcie Galicja*. IPN 2001, str. 39)

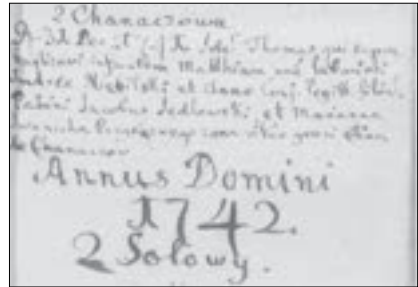
+ + + + + + + +

17 czerwca 2023 r. odbył się Festyn Kresowy w Gierałtowie, który zaczął się mszą św., a po niej nastąpił apel pod pomnikiem upamiętniającym Polaków zamordowanych na Kresach. Później przy remizie OSP przebiegał dalszy ciąg imprezy: występ dzieci z miejscowej szkoły, koncert orkiestry dętej, konkurs młodzieżowej drużyny pożarniczej, koncert zespołu folklorystycznego z Zagajnika i koncert zespołu „Bez polotu”. Festyn kończyła dyskoteka. Bardzo dziękuję za zaproszenie na Święto Kresowe.

+ + + + + + + +

Jeden ze starszych zapisów ochrzczenia dziecka z Hanaczowa (zdjęcie obok), znajdujący się w dokumentach parafii Wyżniany, do której wtenczas należała ta wioska. Treść zapisu: *Dnia 31 grudnia 1741 ks. Thomas Schlegel ochrzcił Mateusza syna szlachetnego Andrzeja Niebylskiego i Anny. Chrzestni: Jakub Jedlowski (Sedlowski?) i Marianna Iwanicka*

przysiężnego żona, wyznania grekokatolickiego z Hanaczowa.



+ + + + + + + +

W numerze 167 „Spotkań Świrzan”, na str. 2, błędnie podałem wysokość łapówki, przyjętej przez W. Kniaziewa. Powinno być 3 miliony dolarów. Przepraszam Czytelników.

+ + + + + + + +

Za porąbanie krzyża. Głośna onego czasu sprawa porąbania wystawionego przez parafian w Lisowcach, krzyża nad Seretem, była onegdaj przedmiotem rozprawy przed sądem karnym w Stanisławowie. Grekokatolickiego parocha, ks. Kowcza, z polecenia którego krzyż wyrąbano, trybunał uwolnił, skazano natomiast na 8 dni aresztu dwu włóścian, którzy czynu się dopuścili. (*Kurier Lwowski* z 14.02.1909 r.)

Spotkania Świrzan - biuletyn wspomnieniowo-historyczny Świrzan i Ich Potomków. Nr 168. Zebrał, opracował i wydał - Józef Wyspiański. Adres redakcji: 59-337 Lubin, ul. Sokola 28/6, tel. 76-74-94-125, adres internetowy: erjotwulubin@wp.pl. Wydano w Lubinie, IV 2024 r. Druk MCKK Lubin. Przedruk tekstów pod warunkiem podania źródła. Rozpowszechnianie - bez ograniczeń. Redakcja będzie wdzięczna za wszelkie uwagi o przedstawionych treściach. Redakcja nie zawsze identyfikuje się z poglądami wyrażonymi przez autorów.